Nr. 2. Warszawa. dnia 2 (14) Stycznia 1899 r. **Rok XIX.**

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Rok 1898.

II.

Przebieg wszechświatowej kwestyi chińskiej w roku ubiegłym zyskał jeden moment stanowczy: mocarstwem przewodniem, bądź czynnie kierującem, bądź biernie wytykającem granice działania innym, jest Rosya. Odniosła ona też w r. 1898 najważniejszą korzyść z wykazanej przez Japonię niemocy Chin: zajęła Talien-Wan i Port-Arthur na półwyspie Liao-tong, posiadła terytoryum prowadzące w głąb Mandżuryi, zyskała prawo zbudowania na nim kolei: można zatem powiedzieć, że ogromny już obszar północno-wschodni Chin chińskim być przestał. Gdy w r. 1903 stanie kolej Syberyjska i odnoga jej do Portu Arthur i Talien-wanu, potęga materyalna Rosyi zyska tak wielką w niej dźwignię, taką, dla innych niedostępną, możność gromadzenia i rzucania wielkich sił lądowych na punkta wszczynających się działań, że stanowisko Państwa Rosyjskiego na chińskim Wschodzie równać się będzie dyktaturze politycznej wpośród współzawodniczących z sobą mocarstw sprawowanej. Odtąd dalszy rozbiór Państwa Niebieskiego nie może się dokonywać inaczej, jak tylko pod kierunkiem Rosyi i w mierze z zamiarami jej zgodnej. Olbrzymich dodatnich skutków ekonomicznych wykazywać nie potrzeba: biją one w oczy. Ważna ta, epokowa korzyść, odniesiona przez dyplomacyę rosyjską, ma postać umowy o 25-letnią dzierżawę punktów nadmorskich Talien-Wan i Port-Arthur, w Pekinie d. 27 marca zawartej i bezzwłocznie przez *Goniec Urzędowy* ogłoszonej.

Rząd angielski najpierw uspakajał opinię, że ma zapewnienie Rosyi, iż każdy port rosyjski będzie wolny i dla Anglii, a potem skuteczniejszego już użył środka: zamiast współdziałać z Japonią, choćby tylko dla demonstracyi wojennej, do której miał już flotę, najpierw w Czemulpo na Korei, potem w samem Port-Arthur, w przeddzień przejścia tego Tulonu chińskiego pod władzę Rosyi, wpłynął na rząd mikada, aby się nie upierał przy Wei-hai-wei, trzymanem z mocy traktatu w Simonoseki z maja 1895 r., aż do zupełnego spłacenia kosztów wojennych, spłatę ułatwił i na mocy umowy dzierżawnej, z terminem 99-letnim port, z którego Japończycy ustąpić musieli, natychmiast zajął, kładąc się na ciepłe jeszcze legowisko japońskie. Jest to wszystko, czem Anglia na razie łzy swe otrzeć zdołała: po r. 1903 dostawać się jej będzie to tylko, co dla odwrócenia grożącej już wojny własny interes Rosyi w ręce angielskie wydać pozwoli: dyktaturę rosyjską będzie dumny Albion przed innemi mocarstwami odczuwał, dopóki nie przyzwyczai się jej uznawać. Nic na to deklamacye i pobrzękiwania Salisburych, Curzonów, Hicksbeach'ów nie pomogą: drzwi zaryglowane, wysadzać ich nikt się nie odważy.

Niemcy zaokrągliły sobie posiadanie w Kiao-tsau, zajętem w grudniu 1897 r., a Francya dostała prawo komunikacyi w Iunanie i drobne okrawki około Hong-Kongu. Rok ubiegły przejął od poprzednika swego apetyt francuski na Hainan, wyspę leżącą wprost Tonkinu i jakby napraszającą się trójkolorowego sztandaru, ale pogróżki angielskie ostudziły zapały wielkiego narodu: zgromadzenie się floty francuskiej wydało fajerwerk nieszkodliwej demonstracyi. Gdy po wybuchnięciu wojny hiszpańsko-amerykańskiej między Ameryką a Anglią zaczęło się objawiać lgnienie ku sobie, płynące jawnie ze wspólności rasy anglo-saksońskiej, przez traktat wersalski 1783 r. rozłupanej, a tajemnie ze wspólności przyszłych interesów; gdy nowy traktat paryski z d. 10 grudnia r. z. Filipiny oddał wielkiej zamorskiej rzeczypospolitej—zwiększył się też zastęp państw współzawodniczących z sobą i uczestniczących w rozbiorze Chin (którego przecież nie trzeba pojmować w grubem materyalnem znaczeniu bezzwłocznego rozszarpania) o nowe wielkie mocarstwo. Anglia przez usta Chamberlaina i samego Salisburego oświadczyła, że zjawienie się tej nowej potęgi międzynarodowej może być dla wielu niedogodnem, ale dla Anglii jest wielce pożądanem. Pozyskanie wielkiego terytoryum filipińskiego (6,000 mil kwadr.), przy współdziałaniu obu mocarstw i położeniu geograficznem, przedewszystkiem zaciężyć będzie musiało na Francyi; może też doprowadzić do wytworzenia dla Chin ściśle południowych takiego samego taranu, jakim dla północnych jest obsadzenie Liao-tongu i prawo przelotu przez Mandżuryę zachodnią. Opinia w Europie podejrzewa oba mocarstwa o zamiar wymiany Filipin na Kanadę.

Na lądzie afrykańskim Anglia zrobiła duży postęp. Po bardzo długich przygotowaniach i z wielką umiejętnością urządzonej wyprawie na Sudan, wódz anglo-egipski, Kitchener „of Chartum“ anglo-egipskiemi też wojskami d. 2 września rozbił pod Omdurmanem zupełnie t. zw. Derwiszów, którzy od lat już prawie dwudziestu południowe obszary Egiptu jako oderwaną od niego całość pod kalifem swoim, *mahdim*, w zawzięciu swem trzymali. Krótkotrwała wyrwa w tem ich panowaniu zakończyła się przed laty straszliwą klęską, po której zostały tylko ruiny Chartumu i śmierć bohaterska Gordona (styczeń 1885 r.); drobne utarczki i drobne też pożytki angielskie, później włoskie, na pobrzeżu M. Czerwonego — były bez znaczenia: teraz dopiero padł cios, który odrazu potęgę Derwiszów niepowrotnie zmiótł.

Anglia ma teraz otwartą drogę na południe: może przystąpić do urzeczywistnienia marzeu Cecila Rhodesa, żeby kiedyś od ujść Nilu do Capetownu ciągnęło się jedno tylko pasmo potęgi i cywilizacyi materyalnej angielskiej. Po podziale Afryki na kongresie w Berlinie 1885 r. i późniejszych jedno tylko granice państwa Kongo stanowią poważną przeszkodę, a okolicznością znowu przyjazną będzie opanowanie portugalskiej Delagoa-bay i ujarzmienie Boerów, na które pomimo wszelkich zaręczeń i zamydlań, coraz poważniej się zanosi. Przypomnieć potrzeba, że pierwszeństwo do nabycia państwa Kongo bądź od króla belgijskiego, bądź od samej Belgii, ma Francya.

Z Francyą też zaraz po zwycięztwie przyszło do starcia. Zasępiło ono tak daleco widnokrąg pokoju między obu państwami, że z obu stron — a zwłaszcza z angielskiej, której potęga w r. 1898 rozkwitła w niepojętą gadatliwość, nie wahano się już zadymać w surmy wojenne. Po za Omdurmanem i poblizkim mu Chartumem, w ostatnim już załamie zachodnim Białego Nilu, ale daleko jeszcze na północ od prowincyi Ekwatoryalnej, leży obszar zwany „Faszodą.“ Geograficznie należy on do Kordofanu, z którego wyszła była ok. r. 1880 cała potęga Derwiszów, politycznie Anglia uważa go za należący do Egiptu, tj. do siebie — „Anglia“ bowiem i „Egipt“ to synonymy. W tej Faszodzie znalazł się z polecenia rządu francuskiego francuski major Marchand, z francuskimi żołnierzami. Kitchener wezwał go do ustąpienia: Marchand odmówił. Ponieważ nie miał co jeść — nie był więc strasznym: Anglicy dali mu trochę chleba i mięsa, najspokojniej rozłożyli się obok niego, zatknęli swój sztandar obok francuskiego, a resztę zostawili Salisburemu. Salisbury d. 8 października zapowiedział Francyi, że wszystko, co miał kalif, ma teraz Egipt. Francya, którą Faszoda zaskoczyła jeszcze za Brissona, pod nowym już rządem, p. Dupuy, schowała sztandar francuski do kieszeni. Nie ustały wprawdzie zbrojenia się i pogróżki, ale dym nie jest przecież ogniem, a w danym wypadku jeszcze tem bardziej, że zbrojenie się, zrazu żywe we Francyi, obecnie już należy tam do wspomnień, w Anglii zaś trwa bez przerwy — co prawda, głównie z powodu ogólnego niebezpieczeństwa i obowiązku obronności na wszystkich punktach — jak wyjaśnili ministrowie — aniżeli z powodu marnej jakiejś Faszody.

Tydzień polityczny. Rewizya procesu Dreyfusa wzbogaciła się szumną a dobrowolną dymisyą jednego z prezesów wydziałowych sądu kasacyjnego, p. Quesnay de Beaurepaire. Były prezes występuje ze składu najwyższej magistratury francuskiej dlatego, że nie chciał mieć nic wspólnego z ludźmi których postępowanie „przypomina sprawę panamską.“ Miał on d. 10 b. m. poczynić w dziennikach odkrycia, obrzucające błotem wszystkich dostojników popierających rewizyę. Oczywiście, jest to nowy fortel, nowy zamach stronnictwa, nazywającego się „narodowem, antisemickiem,“ a będącego istotnie monarchicznem i czyhającego na zgubę rzeczypospolitej. Oczywiście, p. Quesnay jest przeciwnikiem rewizyi, a widząc ją dobiegającą do kresu i sam chciał swoją dłoń mieć na wierzchu i miał też ucho otwarte na podszepty ludzi broniących honoru armii kamieniami rzucanemi na drogę, którą sprawiedliwość pójść musiała, aby samą siebie i naród wyprowadzić z ciemności. Na wystąpieniu i odkryciach p. de Beaurepaire nie skończy się nowy bunt: będą w pałacu Burbonów interpelacye, wymysły i wrzaski, będzie wycie tłumów pod oknami. Samo już zestawienie ze „sprawą panamską“ odejmuje zapowiadanym odkryciom powagę. Jednem np. z przestępstw sądu kasacyjnego miało być to, że p. Loew zmęczonemu badaniem Picquartowi kazał przynieść grogu jako napoju orzeźwiającego.

Prokurator bawi już na Czarciej Wyspie i bada Dreyfusa.

Zoli Anglicy jeszcze nie wydali i zapewne nie zechcą się brudzić taką usłużnością.

Ks. Jerzy zamianował komisyę do ułożenia nowej konstytucyi dla Krety; statut opracowany przez ambasadorów i admirałów uznano za niewystarczający.

Na Węgrzech ces. Franciszek Józef rozpatrywał już wspólnie z Banffym sprawę wrzucenia go w paszczę opozycyi i tym sposobem uratowania stanu prawnego konstytucyi. Opozycya nie chce przyjąć trwalszych zobowiązań. P. Szilagyi'emu pilno jest wyprzeć Banffy'ego; p. Aponyi chciałby jeszcze urość jako polemachos a Kossuthowi wszystko zawsze będzie złem, co nie będzie czystym koszuty-[illegible]

W Czechach przebłyskuje dążność do porozumienia się z Niemcami; jest ona wszakże dopiero ułomkową, słabą, przypomina niemowlę, któremu trzeba dopiero wpuścić powietrza w płuca, aby krzyknęło — i żyło.

Na Filipinach mają Amerykanie kłopot niemały: nie z cywilizowanymi Hiszpanami, którzy wszystkiemu się poddali, ale z dzikimi Tagalami. W dwu miejscowościach grożą oni oporem, nawet naftą. Sztandaru wolności, jaki niby zatknęli Amerykanie, nie zaszczyca bynajmniej taki opór; ale go złamią.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

STOSUNKI SPOŁECZNE W KSIĘZTWIE POZNAŃSKIEM

W ŚWIETLE STATYSTYKI.

II.

Widzieliśmy, że ludności rolniczej w Księztwie poznańskiem ubyło: zobaczmy teraz, w jaki sposób i o ile zmieniły się warunki, śród których ta ludność żyje.

Było jej 648,458 *) głów w roku 1895, z tej liczby pracowało zarobkowo 404,893, utrzymując resztę. W roku zaś 1882 było głów 681,745, na których utrzymanie pracowało 395,392. A więc na każdą parę rąk zarobkujących przypadało ust do wyżywienia 2,5 w roku 1895, trzynaście lat przedtem 2,7. Ludność więc rolnicza musi pracować z większem natężeniem, niż dawniej, kobieta zarobkować częściej, dzieci wcześniej, a dla utrzymania rodziny coraz mniej wystarcza praca jej głowy.

Podział na grupy społeczne statystyka wykazuje taki:

	gospodarzy samodzielnych	oficyalistów	najmitów.
w roku 1881	71,474	7,642	316,276
w roku 1895	86,852	9,415	308,626

Liczba tedy gospodarzy samodzielnych wzrosłaby bardzo znacznie, wyrobników najmitów zmniejszyła się. Możnaby wnioskować stąd, że stan włościański w Księz-

*) Zauważyć należy, że do ludności rolniczej zaliczono ogrodników, leśniczych, bartników, rybaków. Jednakże zaledwie kilka tysięcy można włączyć do tych kategoryi.

---

1)

Oliwia Schreiner.

SEN W CIEMNĄ NOC

(przekład z angielskiego).

Pewnej pochmurnej nocy leżałem w łóżku. Z ulicy słychać było odgłos kroków policyanta, chodzącego po trotuarze, turkot powozów, odwożących do domu rozbawionych gości i śmiech kobiety, przechodzącej pod mojem oknem — a potem... zasnąłem.

I w ciemności nocy ujrzałem sen.

Zdało mi się, iż dusza moja dostała się do piekła. Było w niem tak pięknie, a znajdujące się tam jezioro było tak jasne i błękitne, że zawołałem: „Jakże mi się tu podoba!“

— Istotnie?—zdziwił się Duch, który mi przewodniczył.

A ptaki śpiewały, soczyste trawy schyliły się do samej wody, rosły przepiękne drzewa. Śród nich, niby cudne widziadła, snuły się kobiety w szatach z lekkich, różnobarwnych tkanin; wszystkie one były wysokie i smukłe o włosach złocistych. To pojawiały się, to znikały; długie ich suknie muskały traw kobierzec, a nad ich głową wisiały wielkie, dojrzałe, złociste owoce.

I zawołałem w zachwycie: „Jakże tu pięknie! Jakżebym chciał skosztować...“

Lecz Duch mnie powstrzymał.

— Poczekaj! — rzekł.

Wkrótce zauważyłem jedną z tych pięknych kobiet, jak ukradkiem, oglądając się dokoła, nagle rozchyliła gałęzie, zbliżyła usta swe do owocu i jak gdyby go pocałowała, a potem zniknęła tak samo bez szelestu.

Gdy odeszła, z po za drzew wysunęła się druga, równie piękna, w jasnej powiewnej szacie. Przekonawszy się, że nikt jej nie widzi, nachyliła do siebie gałązkę i przylgnęła do owocu ustami, a potem oddaliła się, jak pierwsza. I przychodziło wiele kobiet, a wszystkie czyniły toż samo i znikały cicho.

Zdziwiony, zapytałem ducha, co one robią.

— Trują owoce.

— W jakiż sposób?

— Przytknąwszy owoc do ust, przegryzają zębami skórkę, wlewają weń truciznę, a ukąszone miejsce wygładzają wargami, aby nikt go nie mógł dostrzedz.

— I po cóż one to robią?

— Aby inni tych owoców jeść nie mogli.

— Ależ jeśli wszystkie będą zatrute, cóż one na tem zyskają?

— Nic.

— A czyż się nie boją, że same zjeść mogą owoc, przez kogo innego zatruty?

— O, naturalnie, że się tego obawiają. Widzisz — dodał Duch — w piekle wszyscy się boją...

I prowadził mnie dalej; ale gdym rzucił wzrok mój w stronę jeziora, nie wydało mi się już ono tak przejrzystem, jak przedtem.

Na prawo, śród drzew pracowali mężczyźni. Spostrzegłszy ich, rzekłem:

— Chciałbym i ja popracować z nimi; ziemia w piekle musi być urodzajną, gdyż trawa, po której stąpamy, jest zielona i soczysta.

— Nie łudź się — rzekł mi Duch — wszystkie te piękne drzewa, które rosną w tym ogrodzie, nie oni hodują.

A gdyśmy stanęli, aby przyjrzeć się lepiej, ujrzałem, iż schyleni mężczyźni kopali doły śród krzaków, ale nic w nich nie sadzili. Pokrywali oni je chrustem i ziemią, a odszedłszy na bok, siadali w krzakach, jak gdyby obserwując zdaleka dzieło rąk swoich. I zauważyłem, że wszyscy stąpali tu z wielką ostrożnością, jak gdyby omackiem.

Spytałem, co robią.

twie rozwija się pomimo przesilenia, że wzrosła liczba „włościan obywateli,“ ludzi niezależnych, co żyją z roli, że odbywa się przyspieszony proces rozdrobnienia wielkiej własności ziemskiej. Jednakże wniosek taki byłby przedwczesny. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem niezmiernie złożonem. Posiadacz małego kawałka gruntu może być zarazem najmitą miejskim lub wiejskim, i trudno nieraz rozstrzygnąć, czy jest on włościaninem, szukającym zarobków pobocznych, czy też najmitą, który posiada kawałek gruntu. Statystyka starała się ująć te stosunki w cyfry, lecz niestety sposób liczenia przy spisie 1895 roku był inny, niż 1882 r. W tym ostatnim policzono 60,496 „samodzielnych“ gospodarzy, którzy jednocześnie zarobkowali jako najmici, w roku zaś 1895 — 21,768 najmitów, którzy mieli grunta dzierżawne lub własne. Wprowadzono więc do owych grup zasadniczych ludzi na podstawie innych danych.

Wobec tego porównanie staje się zgoła niemożliwem.

Na szczęście mamy inne jeszcze źródło informujące nas o stosunkach drobnej, średniej i wielkiej własności: spis gospodarstw rolniczych (Landwirthschaftliche Betriebszählung), którego dokonano również za lata 1882 i 1895. Wówczas uznano jako „gospodarstwo rolnicze“ każdą posiadłość ziemską, bez względu na wielkość (zdarzają się „gospodarstwa“ mające 0,1 ara, tj. 100 metrów kwadratowych) i bez względu na to, czy posiadacz czerpie z niej główne środki utrzymania, czy też uważa pracę koło roli za podrzędne dla siebie źródło dochodu. Naturalnie okazuje się, że takich „gospodarstw“ jest znacznie więcej, niż „gospodarzy samodzielnych, „gdyż figurują tu zagony będące w rękach „komorników“ i „chałupników,“ tj. najmitów wiejskich, jak również kawałki gruntu będące w posiadaniu robotników fabrycznych i rzemieślników wiejskich lub podmiejskich.

Liczono więc gospodarstw w roku 1895—206,009, w roku zaś 1882 — 165,785. Pojęcie o znaczeniu ich możemy otrzymać tylko dzieląc je na grupy co do wielkości. Podział ten zawsze będzie sztuczny i dowolny. W statystyce niemieckiej rozróżniają 5 grup: mniej, niż 2 hektary, 2—5 hektarów, 5—20 hekt., 20—100 hekt., więcej, niż 100 hektarów. Znaczenie tych grup poznamy niebawem.

Jakie zmiany zaszły w liczbie gospodarstw zaliczonych do tych grup, wykazuje tablica następująca:

Obszar ziemi gospodarstwa wynosił	Liczba takich gospodarstw w r. 1995	w r. 1882
mniej, niż 1 hektar *)	125,933	94,350
od 2—5 hektarów	23,678	20,224
od 5—20 „	41,125	36,602
od 20—100 „	12,638	11,885
100 hektarów lub więcej	2,6?5	2,724

Te cyfry wykazują, że w Księztwie zaszło rzeczywiście bardzo wyraźne rozdrobnienie ziemi. Dla bliższego wejrzenia w ten proces, potrzebne nam są jednak cyfry wykazujące, jaki obszar ziemi uprawnej obejmowała każda z tych grup. Ziemi uprawnej w Księztwie w roku 1882 liczono 2,047,990 hektarów, w roku zaś 1895 — 2,087,749, przybyło więc jej bądź przez karczowanie lasów, bądź przez uprawę nieużytków przeszło 39,000 hektarów. Ten obszar dzielił się tak.

Gospodarstwa uprawiające	Hektarów w r. 1895	hektarów w r. 1882
mniej niż 2 hektary	58,898	48.560
od 2—5 hektarów	76,687	67,483
od 5—20 „	434 883	390.?53
od 20—100 „	427,829	407,085
więcej niż 100 hekt.	1,089,452	1,133,990

Rozpatrzmy się w każdej z tych grup oddzielnie.

Pierwsza grupa obejmuje miniaturowe zagrody, **) które w żadnym razie wyżywić rodziny nie mogą. Te gospodarstwa liczebnie wzrosły ogromnie (o 31,613 czyli o 30%), obszar zaś objęty przez nie powiększył się o 10,338 hektarów; przeciętna ich wielkość zmniejszyła się z 0,51 do 0,46 hektarów. Powiększa się zatem liczba ludzi, którzy jako najmici wiejscy lub miejscy posiadają lub dzierżawią miniaturowy kęs ziemi.

Druga grupa obejmuje gospodarstwa drobne (2 do 5 hektarów czyli 3,5 do 8,7 morgów, które mają już charakter włościańskich; są to wszakże gospodarstwa zgoła małorolne, których posiadacze muszą zarobkować jeszcze po za pracę na swoim zagonie. Liczba ich wzrosła o 3,454, obszar objęty przez nie *powiększył się* o 9,204 hektarów; wielkość ich przeciętna *powiększyła się* z 3 do 3,2 hektary.

Trzecia grupa obejmuje gospodarstwa drobne, (5 do 20 hektarów), lecz takie, które w pomyślnych warunkach mogą utrzymać, aczkolwiek z trudnością, rodzinę włościańską. Liczba ich wzrosła o 5,523, obszar przez nie zajęty *powiększył się* o 33,930 hektarów; wielkość ich przeciętna z 10.7 hektarów *zmniejszyła się* do 10.5 hektarów.

Trzecia grupa obejmuje typowe gospodarstwa włościańskie, „włókowe“ (20 do 100 hektarów czyli 1 do 5 włók). Liczba ich wzrosła o 753; obszar przez nie zajęty *powiększył się* o 20,744 hektarów; wielkość przeciętna *zmniejszyła* [illegible] z 34.1 do 33,8 hektarów.

Ostatnia grupa obejmuje duże gospodarstwa włościańskie i wielką własność ziemską. Liczba ich zmniejszyła się o 981; obszar przez te gospodarstwa zajęty *zmniejszył się* o 34,457 hektarów; wielkość ich przeciętna nie wiele się zmieniła (416—419 hektarów).

W jakim *stosunku* dzieli się obszar ziemi pomiędzy gospodarstwa wymienionych grup wykazuje nam tablica następująca:

Gospodarstwa obejmujące	Na 100 gospodarstw przypada gospodarstw klas wy[illegible] 1895 r.	1882 r.	Na 100 hektarów [illegible] upraw. przypada na obszar gosp. klas wy[illegible] 1895 r.	1882 r.
[illegible]	61,4	56,91	2,82	2,37
[illegible]	11.40	12 20	3,67	3,29
od 5 20 h. a.	19,96	22,08	20,83	19,09
od 20—100 h. a.	6.14	7,17	20,49	19.88
więcej niż 100 h a.	1,27	1,64	52 19	55 37

Tablica ta wykazuje, że dotąd jeszcze przeszło połowa obszaru uprawnego w Księztwie—52,19% jest w rękach większych właścicieli ziemskich, liczba jednakże tych gospodarstw wielkich wynosi zaledwie 1,27% liczby ogólnej. Ta przewaga wielkiej własności jest charakterystyczną dla Poznańskiego. Podobne stosunki w państwie niemieckiem istnieją tylko jeszcze na Pomorzu, gdzie własność wielka zajmuje 55% obszaru i w Meklemburgu 60%. We wszystkich innych prowincyach i państwach rzeszy wielka własność stanowi mniej, niż połowę ogólnego obszaru. Przeciętna dla Prus wynosi 30,94,%, dla całego państwa 24,08%. W niektórych zaś prowincyach znikła ona niemal zupełnie: W Hohenzollern zajmuje już tylko 1,69% obszaru, w prowincyi Nadreńskiej 3,51%, w Bawaryi 2,57%. Jednakże, jak widzimy z tablic naszych, zarówno liczba gospodarstw dużych, jak obszar przez nie zajęty, zmniejsza się bezwzględnie i stosunkowo. Jakkolwiek w małym stopniu, to jednakże nastąpiło rozdrobnienie tych dużych gospodarstw.

A więc zmiany w posiadaniu zaszły takie: liczba wielkich gospodarstw zmniejszyła się nieznacznie, przeciętna ich wiel-

*) Hektar = 1,75 morgi nowopolskiej.

**) Ziemie „deputatowe,“ oddawane na użytek służby folwarcznej, nie są tu wliczone.

— Kopią doły swoim współbraciom — rzekł mi Duch.

— Na co?

— Każdy z nich myśli, że upadkiem brata sam się wzniesie.

Widziałem, jak w krzakach gorzały ich źrenice.

— Czy ci ludzie są zdrowi? — zapytałem.

— Nie — odpowiedział Duch — w piekle nikt zdrowym nie jest.

I powiódł mnie dalej. Trzeba było stąpać ostrożnie, aby nie wpaść do dołu. Wreszcie wyszliśmy z ogrodu, i jak okiem zasięgnąć, ujrzałem roztaczającą się nagą płaszczyznę. Wśród niej stał gmach wielki, którego dach podtrzymywały marmurowe kolumny, a marmurowe schody wiodły do wnętrza. Wiatr hulał tam bez przeszkody i tylko z tylnej strony zwieszająca się ciężka zasłona zagradzała mu drogę. W gmachu tym dokoła długich stołów ucztowali bogato ubrani mężczyźni i kobiety; niektórzy tańczyli; co chwila rozlegał się śmiech ucztujących. Główną jednak rozkosz dawało im wino. Czerpali je z wielkich dzbanów, które stały przy tylnej ścianie — a iskrzyło się, gdy je nalewali.

I powiedziałem duchowi:

— Pragnąłbym bardzo pójść do nich i wypić wraz z nimi.

Na ucztę przybywali wciąż nowi goście; wchodzili oni zaś od tylnej ściany, podnosili zlekka zasłonę i szybko prześlizgnąwszy się, opuszczali ją natychmiast za sobą. Wszyscy wnosili ogromne dzbany, które z trudnością dźwigali na sobie. Ucztujący obstępowali ich ze wszech stron, a oni, podniósłszy pokrywę swych dzbanów, nalewali wszystkim po kolei; przytem — rzecz dziwna — kobiety piły z większą chciwością, niż mężczyźni. Uraczywszy wszystkich, nowi goście stawiali swe dzbany rzędem obok innych, które już stały pod ścianą, a sami siadali do biesiadnego stołu. I spostrzegłem, że niektóre dzbany były stare, pokryte pleśnią i kurzem, na innych zaś błyszczały krople młodego wina, a one same były jak gdyby świeżo wypalone.

Nagle wykrzyknąłem z przerażeniem: „Co to znaczy?“ — gdyż wśród dźwięków pieśni, tupotu nóg, śmiechu i brzęku szklanek usłyszałem krzyk przeraźliwy.

Lecz Duch rzekł: „Chodź dalej“ i powiódł mnie w miejsce, skąd widać było, co się dzieje po obu stronach zasłony. Za domem znajdowała się tłocznia wina: widziałem, jak rozgniatano winne grona, i słyszałem ich jęki.

Spytałem:

— Czyż ludzie, ucztujący po tamtej stronie zasłony, nie słyszą tych jęków?

— Zasłona jest grubą — odrzekł Duch.

— Ależ ludzie, którzy dopiero co weszli, wszystko widzieli...

— Opuszczają za sobą zasłonę i zapominają o tem co widzieli.

— Jakże zdobywają to wino, które przynoszą z sobą w dzbanach?

— Zdobywają je ci jedynie, którzy podczas gniecenia winogron zdołają przecisnąć się na wierzch. Uwolniwszy się z pod tłoczni, wdzierają się na brzeg zbiornika, zaczerpują wino i wychodzą ucztować za zasłonę.

— A gdyby który z nich upadł, wspinając się na górę?

— Wtedy sam stałby się winem.

Patrzyłem i wzdrygałem się, nie wierząc swym oczom.

Po chwili zauważyłem, że zasłona, wisząca u tylnej ściany, zakołysała się zlekka.

— Czy to wiatr powiał? — zapytałem.

Lecz po chwili zdało mi się, że ktoś zzewnątrz napiera na zasłonę, i że na niej widać kontury męzkich i kobiecych postaci. Wkrótce też i ucztujący zauważyli kołysanie się jej i zaczęli coś szeptać pomiędzy sobą. Wtedy niektórzy z nich wstali, zebrali najgorsze naczynia i zleli do nich to, co pozostało na dnie wypróżnionych dzbanów. Matki szeptały swym dzieciom:

— Nie wypijajcie wszystkiego, zostawcie po kropli w szklankach naszych.

kość pozostała prawie ta sama. Jednakże ubyło 981 takich gospodarstw i nastąpiły one 34,457 hektarów ziemi mniejszym, prócz tego tym drobnym dostał się cały przyrost ziemi uprawnej: 39,000 hektarów. W czyje ręce przeszły te rozparcelowane obszary? 10,338 hektarów dostało się drobnym posiadaczom pierwszej grupy, którzy nie mogą marzyć o wyżywieniu się z ziemi posiadanej. Liczba takich zagonów wzrosła ogromnie, tembardziej, że przeciętna wielkość ich obszaru zmniejszyła się. Te 10,000 hektarów, zostały więc „rozproszkowane.“ Żądza posiadania ziemi, ten przemożny instynkt ludności wiejskiej, żądza posiadania choćby zagona jednego dla zasadzenia kapusty lub ziemniaków działa z siłą elementarną i odnosi zwycięztwo. Lecz, jak widzimy, nie wiele ów tłum bezrolny zdołał sobie przywłaszczyć tej upragnionej roli. — Dalej, druga i trzecia grupa, „gospodarstwa małorolne, zdobyły przeszło 42,000 hektarów. Tu wre walka zacięta o każdy szmat ziemi: liczba gospodarstw w grupie trzeciej powiększa się, przeciętna wielkość zmniejszyła się pomimo tego przyrostu. Znaczy to, że byt tych gospodarzy małorolnych jest ciężki, większość ich nie może utrzymać w rękach roli. Lecz pomimo to napływ jest wielki, liczba małorolnych wzrasta. I tu ta sama namiętność do ziemi działa nieprzeparcie.

Nakoniec grupa trzecia. Zasługuje ona na szczególną naszą uwagę. Jest to kategorya właściwych gospodarstw włościańskich, ów stan średni w rolnictwie, włościaństwo względnie zamożne. Ku wzmocnieniu tego stanu dąży z całą świadomością z jednej strony rząd pruski, z drugiej zaś społeczeństwo polskie. Rząd, ustanawiając fundusz 100-milionowy, wyraźnie chce, aby osadzić w ziemi poznańskiej zastęp włościan Niemców, zamożnych, opatrzonych w rolę dostatnio. Gospodarstwa co najmniej włókowe „kulturträgerów“ — takim był jego cel. Inne wysiłki społeczeństwa polskiego znów były skierowane ku utworzeniu takich gospodarstw w ręku włościan Polaków. Dopomagać do tworzenia się małorolnych gospodarstw włościańskich niema celu, gdyż one się nie utrzymują, są skazane na zdrabnianie coraz większe, które też, jak widzimy, nastąpiło. Kto jest zwolennikiem parcelacyi, dla tego ideałem być musi pomnożenie liczby gospodarstw co najmniej włókowych, dostatnich, mających szanse powodzenia w walce ekonomicznej. Otóż rezultat jest taki, że ta właśnie grupa gospodarstw wzrosła najmniej, bo o 753 tylko, że pomimo wszelkich faworów ci włościanie zamożni zdołali objąć w posiadanie tylko 20.744 hektarów, a przeciętna wielkość ich gospodarstw zmniejsza się. Rezultat więc nie odpowiada staraniom i zarówno robota napastników, jak obrońców, nie wpłynęła silnie na przebieg procesu ekonomicznego. Dlaczego? Najważniejszą, jak sądzimy, przyczyną jest to, że w kraju, w którym przeważa w takim stopniu wielka własność, w kraju słabo zaludnionym, typowe gospodarstwo chłopskie utrzymać się nie może. Warunkiem bytu i powodzenia tego rodzaju gospodarstw jest bardzo intenzywna uprawa roli. W produkcyi zboża włościanin nie może współzawodniczyć z wielką własnością przy obecnych warunkach, gdyż minimalny zysk na korcu, którym zadowoli się właściciel majątku np. 20-włókowego, nie wystarczy dla włościanina, nie da mu środków utrzymania; pomijając już fakt, że (mimo wszelkich twierdzeń przeciwnych) gospodaruje on drożej. Współzawodniczyć zaś może włościanin skutecznie ze swoim rywalem tam, gdzie chodzi o zaspokojenie potrzeb ludności miejskiej, co do nabiału, mięsa, drobiu, ogrodowizn. To też widzimy, że własność włościańska większa, o jakiej tu mowa, jest silnie reprezentowana na zachodzie Niemiec i w pobliżu wielkich miast. W Marchii brandenburskiej, która ma odbyt stały do Berlina, zajmują one 35% obszaru, w okręgach Hamburga i Lubeki 57%, w Saksonii 30% itd. Prócz tego jest kilka prowincyj takich, w których włościanie tej kategoryi przeważają (Oldenburg, Holsztyn, częściowo Bawarya), pomimo że są to prowincye względnie małoludne. Objaśnia się ten fakt warunkami historycznymi — niema tu własności wielkiej, chłopstwo już przed wiekami uporało się z nią.

A więc wniosek jest taki:

1) Odbywa się wprawdzie rozdrobnienie posiadłości ziemskiej w Księztwie, lecz ta parcelacya nie doprowadza, a przynajmniej dotąd nie doprowadziła do wytworzenia licznego, mającego zapewniony byt stanu włościańskiego. Ludzi, którym w społeczeństwie przypadła ta rola, jaką przypisują właścicielom ziemi, nie możemy liczyć 86,800, jak podaje statystyka zawodowa, lecz tylko 56,300, a mianowicie 2,600 przedstawicieli wielkiej własności ziemskiej i 53,700 włościańskiej, średniej i większej. Liczby to niedokładne, gdyż zdarza się, jak wiadomo, że w jednych rękach znajduje się po kilka majątków, 30,500 zaś posiadaczy gruntów, których statystyka zawodowa zalicza do „gospodarzy samodzielnych,“ musimy wlączyć do proletaryatu rolnego, pomimo że posiadają jakiś zagon gruntu i zapisali się na tej zasadzie do gospodarzy. W ten sposób liczba proletaryatu wiejskiego, tj. ludzi zarobkujących w rolnictwie, wynosi 339,000.

2) Tendencya ogólna procesu społecznego, jaki się tu odbył, nie jest taką, aby można żywić nadzieję, że ten stosunek zmieni się w bliskiej przyszłości. W społeczeństwie tem średni stan wiejski, stan włościan, dotąd nie reprezentuje doniosłej liczebnie grupy, przeważa swoją potęgą ekonomiczną grupa właścicieli ziemskich, a liczbą — proletaryat rolniczy, bezrolny lub małorolny, i jak dotąd, niema widoków, aby się to zmieniło.

Dopóki zaś tak będzie, nie można się spodziewać, aby ustał ów prąd emigracyjny, o jakim mówiliśmy od początku: proletaryat wiejski polski będzie tysiącami porzucał ziemię ojczystą i osiedlał się w przemysłowych częściach państwa niemieckiego. Prąd ten ustałby, a przynajmniej osłabł dopiero wtedy, kiedyby większość ludności rolniczej zmieniła się z najemników na posiadaczy rolnych, którzy mogą żyć z uprawy tej roli. Na to, niestety, nie zanosi się i dlatego jak oddawaliśmy Niemcom setki tysięcy pracowników, którzy kopią węgiel nad Renem lub pracują w fabrykach wielkich miast, tak oddawać będziemy i nadal.

(D. n.).

Dr. J. B. Marchlewski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Wydalania pruskie.

Różnice między groźnem kiwaniem palcem w bucie a istotnym odwetem w sprawie wydalania cudzoziemców z Prus wskazali Duńczycy. Na wieść o tym barbarzyńskim czynie złączyli się oni w zgrozie i postanowieniu zerwania stosunków z sąsiadami, którzy znieważają i depczą prawa międzynarodowe. Nie bę-

---

A kiedy zebrali już wszystkie resztki, wylali je wprost pod zasłonę, nie podnosząc jej nawet z podłogi: podejrzany szmer z tamtej strony uciszył się wkrótce.

— Czemuż się uspokoili? — spytałem.

— Piją teraz, to, co im wylali.

— Jakto — zawołałem — swoje, swoje własne soki?!

— Soki te spływają do nich z po za zasłony — odrzekł mi Duch — a oni są tak spragnieni!...

I uczta trwała dalej. Ale po pewnej chwili z pod zasłony wysunęła się mała, blada ręka, która jak gdyby pełzała po ziemi i wyciągała się do dzbanów z winem.

— Czemu ta ręka taka bezkrwista?— zapytałem.

— Wyciśnięto z niej wszystkie soki — rzekł Duch.

Mężczyźni siedzący przy stole, ujrzawszy tę rękę, ze strachem zerwali się z miejsc swoich; a kobiety, podbiegając do dzbanów z winem i obejmując je, wołały: „Nasze, nasze własne, nie oddamy ich!“ — i obwijały je swymi długimi włosami.

Spytałem Ducha:

— Czemuż ta mała ręka tak ich przeraziła?

— Dlatego właśnie, że jest ona tak blada i wychudła.

Mężczyźni tłumnie rzucili się ku zasłonie i rozpoczęli bójkę z ludźmi napierającymi z zewnątrz. Słychać było, jak mocowali i tarzali się po ziemi i jak nareszcie jedni pokonali drugich.

A gdy zasłona znowu zawisła spokojnie, i wszyscy wrócili na swe dawne miejsce, zauważyłem na podłodze plamę.

— Dlaczegóż oni nie zmyją tej plamy?— spytałem.

— Bo jej zmyć nie mogą.

I ucztujący w sali ludzie zaczęli zbierać kamyki i rozkładać je u spodu zasłony, aby nie można jej było odchylić.

Spełniwszy to, zasiedli do stołów, i wesołość przerwana wróciła.

Zdziwiony spytałem Ducha:

— Czyż te kamyki mogą utrzymać zasłonę?

— Jak sądzisz?

— Jeżeli wiatr zadmie, to...

— Tak... jeżeli wiatr zadmie...

A w sali wciąż pito i weselono się.

Zwróciłem się do Ducha:

— A gdyby wśród nich znalazł się ktoś, ktoryby powstał od stołu, a odrzuciwszy swój puhar, zawołał do nich: „Bracia, siostry moje, wstrzymajcie się!... Czy wiecie, co my pijemy?!“

I rozciąwszy mieczem zasłonę, rozchyliłby jej połowy i krzyknął: „Bracia moi, patrzcie! My nie wino pijemy!...

Duch rzekł ponuro:

— Zamilknij, patrz tu.

Spojrzałem: przed domem ciągnął się rząd mogił, kwiaty wieńczyły je, pozłacane, marmurowe pomniki strzegły ich wezgłowia. Spytałem Ducha, czyje to groby.

— Są to mogiły tych, ktorzy podczas uczt poskramiali szaleństwa swych braci.

— Czemuż ich pochowano?

— Ci, co w domu ucztują, schwycili ich i wyrzucili.

— Kto ich pochował?

— Ci sami, którzy ich z pośród siebie wygnali.

— Czemuż potem stawiali im pomniki?

— Kości wyrzuconych głośno wołały o czynach ich, więc je zakopano.

Tuż w trawie zobaczyłem martwe ciało i pytałem, czemu ono tu leży.

— Wyrzucono je dopiero wczoraj; po pewnym czasie zacznie ono gnić, kości się obnażą, a wtedy pogrzebią je i obsadzą mogiłę kwiatami.

Uczta tymczasem stawała się coraz hałaśliwszą.

(C. d. n.)

dziemy opisywali rozmaitych objawów tego ruchu antiniemieckiego, który ogarnął całą Danię, zaznaczymy tylko jego poważną siłę i rzeczywiste skutki. Nie jest to słomiany ogień, który dziś wybucha bujnym płomieniem, a jutro gaśnie bez śladu; nie jest to tania blaga, która dziś przysięga publicznie w dziennikach, że nie chce znać Niemców, a jutro wysyła do nich zamówienia handlowe; jest to szczera i niezłomna obrona narodu, który został skrzywdzony.

Co do wydalań na Szlązku, w r. 1882 władze tamtejsze otrzymały rozporządzenie, aby nie dopuścić do osiedlania się: 1) austryackich i rosyjskich poddanych narodowości polskiej; 2) żydów, bez względu na ich pochodzenie. W rozporządzeniu tem nie było wcale mowy o wyjątkowem, osobistem wydalaniu poszczególnych osób, tylko wogóle o niedopuszczaniu do osiedlania się. W wyjątkowych zaś wypadkach, jeżeli władze uważały dopuszczenie tej lub owej osoby wspomnianych kategoryj za wskazane, miały udać się do ministeryum o pozwolenie. Wyjątek ustanowiono jedynie dla robotników fabrycznych, co do których wolno było fabrykantom udawać się o ryczałtowe prawo pobytu dla pewnej liczby razem i to na czas półroczny. Z biegiem lat edykt ten poszedł w zapomnienie. Teraz dopiero rząd pruski przypomniał władzom szlązkim o jego istnieniu i nakazał im ściśle się do niego stosować, przyczem rozciągnięto rozkaz wydalania już nietylko na Polaków, ale na Słowian wogóle.

Miłe sąsiedztwo! A co w tem wszystkiem najzabawniejsze, że Prusacy strasznie obrażają się, gdy jakieś ościenne państwo zagrozi im pięknem za nadobne. To już nie polityka, ale bezczelność.

Telegram historyczny.

Zdaje się, że jesteśmy już u kresu pomysłów konkursowych Redakcya *Wędrowca* bowiem nie mogła znaleźć nic lepszego w tym względzie nad konkurs na „historyę polską w tysiącu wyrazach.“ Naturalnie zastrzeżono, że ma to być jedynie wykaz faktów najważniejszych, ale nawet tak lakoniczny wykład dziesięciu wieków życia narodu zawrzeć w 200-wierszowym artykuliku — to sztuka. A pożytek? Zastanawiano się nad nim z różnych stron i nikt go określić nie zdołał. Co do nas, sądzimy, że redakcya *Wędrowca*, z natury swych zadań troskliwa o zbliżenie światów i ludów, w owej tysiącowyrazowej historyi polskiej zamierza ułożyć telegram, który wyślemy do mieszkańców Marsa natychmiast po otworzeniu komunikacyi z tą planetą. Zawiązanie bezpośrednich z nią stosunków nie jest blizkie, ale możliwe; naród zaś dbały o swój honor powinien wcześnie pomyśleć o tem, ażeby się dobrze przedstawić. Podobno dotychczas tylko Francya przygotowała sobie na ten cel swoje tysiącowyrazowe dzieje; możemy ją jednak wyprzedzić w wysłaniu naszej depeszy. Zresztą chociażbyśmy zajęli drugie miejsce, mieszkańcy Marsa będą musieli ocenić nasz pośpiech.

Połykanie ślinek.

P. E. Jankowski prawie każdy swój artykuł ogrodniczy zamyka słowami: „warto spróbować.“ Wszyscy to uznają i nie wyłączając doradcy — nikt nie próbuje. Coś podobnego zachodzi obecnie z handlem syberyjskim. Dzienniki ustawicznie donoszą, że przy nowej drodze żelaznej Anglicy, Niemcy, Francuzi, Duńczycy zajęli już liczne posterunki, a każdo takie doniesienie kończy się odezwą do ziomków: warto spróbować. I na tę zachętę wszyscy się godzą, ale nikt nie myśli jej wykonać. Skutkiem tego nasze rozprawy o handlu z Syberyą przedstawiają zabawny obraz połykania ślinek i oblizywania się na widok cudzych zysków. Niedawno *Kuryer Warszawski* ogłosił, że w Kurganie aż siedem kantorów trudni się wysyłką masła, którego produkcya dosięga już dwóch milionów rubli. I znowu połknęliśmy ślinkę, oblizaliśmy się i w dalszym ciągu myślimy, jakby zdobyć posadę na kolejach warszawskich z pensyą 300 rb. rocznie. A jednak „warto spróbować...“

Dostawa zboża.

W prasie rosyjskiej i polskiej wynurza się ciągle sprawa bezpośredniej sprzedaży zboża na potrzeby intendentury. Pomimo wszakże, że oddawna dowiedziono niezbicie obustronnej korzyści takiego stosunku, wyłączającego pośrednictwo, handel ten pozostał w dawnej kolei i na nową wejść nie może. Dlaczego? Czy ziemianie nie chcą sprzedawać zboża drożej, a intendentura kupować taniej? O takie lekceważenie własnych interesów posądzić ich trudno. A więc gdzie tkwi przeszkoda? Jak tyle innych — w formalistyce. Zwykły handlarz, obejrzawszy (lub nawet nie obejrzawszy) ziarno w spichrzu, nabywa je, płaci całkowitą sumę lub znaczną jej część, zastrzega termin odstawy i przyjmuje ją bez żadnych reklamacyj, o ile ma do czynienia z uczciwymi producentami. Jeżeli w oznaczonym dniu rolnik nie może mu wydać lub wysłać ładunku, kupiec godzi się na odroczenie i nawzajem korzysta w potrzebie z podobnego ustępstwa. Całkiem inaczej się dzieje przy zakupach intendentury. Jej pełnomocnicy dają tylko zadatek, piszą kontrakt z licznemi obostrzeniami, biorą opieczętowane próby, kwestyonują pojedyncze partye, a wypłata należności przewlecka się nieraz bardzo długo. Otóż wszystkie te warunki, starcia i zachody tak odstraszają ziemianina, że on woli ponieść stratę na cenie, aby ich tylko uniknąć. Dopóki więc ta uciążliwa formalistyka nie będzie uproszczoną i stosunek handlowy nie oprze się na zaufaniu, bez którego on nigdy istnieć nie może, dopóty bezpośrednie sprzedaże zboża dla wojska będą tylko wyjątkami, a nie regułą, jak jest dotychczas. Życie ekonomiczne układa się zawsze według natury swych czynników, a nie według kazań dziennikarskich.

Przeoczona pretensya.

P. H. Siemiradzki ogłosił w pismach warszawskich list, w którym protestuje przeciwko „przypuszczeniu, jakoby temat do swego obrazu „Dyrce chrześciańska“ zaczerpnął z powieści H. Sienkiewicza, „Quo vadis.“ Bo naprzód naszkicował on go wcześniej, a powtóre — i to jest najlepsze — „uważałby za niewłaściwe branie tematu do poważnego dzieła pędzla z utworu beletrystycznego.“ Wyznanie to jest podwójnie pyszne. Przedewszystkiem trudno odgadnąć, dlaczego branie tematu do obrazu, nawet bardzo „poważnego,“ z utworu beletrystycznego, ma być „niewłaściwem,“ zwłaszcza że to czynili najwięksi malarze bez szkody dla sztuki i ubliżenia sobie. Że jednak Siemiradzki, który poczytuje się za oś świata malarskiego, patrzy z lekceważeniem na „beletrystykę“ jako na źródło swych natchnień — to rozumiemy; ale że pisma nasze, dla których Sienkiewicz jest osią świata literatury, powtórzyły bez komentarza taką obrazę dla „twórcy arcydzieł“ — tego nie pojmujemy. I doprawdy, nie należąc do krzyczących przy każdej sposobności: *vivat!*, musimy się ująć za autorem *Quo vadis*. Jego Ligia nie jest wcale mniej „poważną“ od Dyrce p. Siemiradzkiego i mogłaby jej służyć za pierwowzór. Że nie służyła — to inna kwestya, ale po co ustalać fakt zasadą ogólną, która co najmniej dowodzi wysokiej pretensyonalności? Właściwie nawet bardziej by przystało pobożnemu Siemiradzkiemu, żeby wziął swój temat z powieści pobożnego Sienkiewicza, niż z „Antichrista“ Renana, do czego się nieopatrznie przyznaje.

Zachwyt.

W zeszłym tygodniu w magistracie warszawskim odbyła się licytacya na czteroletnią dzierżawę tramwajów. Między innemi stanęła do niej i utrzymała się spółka panów, reprezentowana przez p. L. Wrotnowskiego. Z tego powodu kilka pism wpadło w niezwykły zachwyt. Z przedsiębiorstwa handlowego zrobiono „czyn obywatelski,“ niemal patryotyczny, zaznaczając, iż od tego wiekopomnego wypadku zaczniemy liczyć nową erę... Gdyby nawet tak było, nie moglibyśmy zdobyć się na uniesienie; ale przedewszystkiem tak nie jest. Przedstawiciele bowiem „znanych w kraju rodzin“ oddawna uczestniczą w przemyśle i handlu jako akcyonaryusze i właściciele fabryk, kolei żelaznych, kantorów, nawet lombardów prywatnych. Cóż więc stało się nowego i skąd ekstaza?

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Dzieje narodu polskiego, wykład popularny na podstawie ostatnich badań naukowych, z przedmową Władysława Smoleńskiego, Warszawa, 1898. „Biblioteka dzieł wyborowych.“

Krytycyzm ściśle umiejętny, wprowadzony do historyografii polskiej, objawił się na zewnątrz tak samo, jak w rozwoju umiejętności historycznej na Zachodzie, tj. stworzył i ciągle w rosnącym szybko postępie tworzy historyczne opracowania specyalne, czyli t. zw. monografie. Kierunek ten jest u nas bardziej jeszcze usprawiedliwiony i wprost konieczny, niż u narodów, które znacznie wcześniej swoją dziejową przeszłość naukowo badać poczęły. Uwieńczyły go zresztą dobre rezultaty w zakresie studyów specyalnych, a monografie takie, jak np. Wojciechowskiego „Chrobacya,“ Piekosińskiego „Rycerstwo polskie wieków średnich,“ Maleckiego „Studya heraldyczne,“ opracowania i szkice Kubali, Prochazki, Czermaka i wielu innych, dalej dzieła tej miary, co Pawińskiego „Rządy sejmikowe“ i Korzona „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta“ — stanowią razem wzięte nietylko znaczny dorobek wiedzy historycznej, ale tem samem i równocześnie stwarzają jedynie umiejętną podstawę, na której będzie można śmiało oprzeć naukową pod każdym względem budowę całokształtu historyi polskiej. Obecnie jednak jeszcze taki całokształt musiałby wykazywać znaczne luki: dla przykładu podnoszę tutaj ze strony metodologicznej brak ściśle i umiejętnie ustalonego podziału dziejów polskich na okresy ewolucyjne, a ze strony krytycyzmu w opracowaniu poszczególnych dziejów brak zadawalających prac, odnoszących się do historyi XVIII, pierwszej połowy XVII w. i czasów od r. 1863 włącznie, po dzień dzisiejszy. Wspomniane i inne jeszcze braki tego rodzaju widoczne są też w „Historyi polskiej“ Bobrzyńskiego; nic więc dziwnego, że autor „Dziejów,“ oddając obecnie do rąk inteligentnych czytelników całokształt historyi polskiej, skromniejszy znacznie od Bobrzyńskiego miał zamiar. „Gdyby — pisze w krótkiej przedmowie — zdołała (jego praca) przygotować młodzież i publiczność wykształconą do czytania monografij historycznych i do oryentowania się w powodzi najróżnorodniejszych sądów o przeszłości narodu polskiego — osiągnęłaby cel.“ Czy i o ile osiągnęła go rzeczywiście, czy może nawet daje więcej, aniżeli zamierzała? — oto są pytania, na które musi odpowiedzieć ocena umiejętna.

Zacznę od metody, a na tę rzuca zawsze wiele światła podział rozwoju dziejów danego narodu na t. zw. okresy.

W wydaniu pierwotnem dzieli autor historyę polską na dwie główne „części“. Pierwsza obejmuje chronologicznie przeciąg czasu od chwili powstania państwa polskiego do wstąpienia na tron króla Augusta III; druga sięga od r. 1736 po dzień dzisiejszy. Ze względu na treść rozwoju dziejowego wprowadza ten podział pożądaną zmianę od dotychczasowego szablonu, nie kończąc części I-ej na roku 1795, lecz przeciwnie zaczynając drugą od epoki, którą nazwał autor: „próby reform i upadek rzeczypospolitej.“ Czy i o ile autor wyraz „reformy“ pojmuje tutaj w znaczeniu ogólnem społecznem, czy może tylko społeczno-prawnem ze strony b. państwa polskiego, jest pytaniem, na które będę się starał dać odpowiedź w dalszym ciągu rozbioru. Granica podziału historyi polskiej na dwie główne części jest — według mego zdania — przez autora dobraną zgodnie z dzisiejszym stanem badań naukowych.

Część pierwszą dzieli autor na następujące poddziały: 1) Słowiańszczyzna, 2) kształtowanie się państwa polskiego monarchicznego; 3) upadek władzy monarchicznej; 4) kształtowanie się rzeczypospolitej szlacheckiej i 5) rządy stanów rzeczypospolitej. Rozdział p. t. „organizacya rzeczypospolitej szlacheckiej“ nie jest w dziele odrębnym okresem rozwoju dziejowego, ale szkicem t. zw. dziejów wewnętrznych, rozgrywających się w epoce piątej.

Część II dzieli się tylko na dwa okresy: 1) próby reform i upadek rzeczypospolitej i 2) „walka o byt narodowy i niepodległość.“

Okres pierwszy części I p. t. „Słowiańszczyzna“ jest zawsze koniecznym wstępem do historyi państwa polskiego, które ze Słowiańszczyzny się wyłoniło. Wstęp ten do podziału historyi b. państwa polskiego bezpośrednio się nie odnosi i dlatego z oceny należy go zupełnie wyłączyć. Okres, który autor zatytułował: „kształtowanie się państwa polskiego monarchicznego,“ odpowiada chronologicznie przekazanemu tradycyą historyograficzną okresowi t. zw. „pierwszych Piastów,“ tj. do śmierci Krzywoustego; okres p. t.: „upadek władzy monarchicznej,“ jest chronologicznie jednoznacznym z t. zw. okresem „Polski w podziałach“; okres „kształtowania się rzeczypospolitej szlacheckiej“ jest chronologicznie dawną „Polską kwitnącą,“ a okres, nazwany przez autora „rządami stanów rzeczypospolitej,“ odpowiada tradycyonalnej „Polsce upadającej,“ z wyłączeniem jednak ostatnich czasów istnienia b. państwa polskiego, które — jak już wiemy — stawia autor na czele części drugiej swych „Dziejów.“ To, że autor przyjął podział na okresy, przekazany mu przez większość swych poprzedników w nauce, a nie uznał np. podziału Wojciechowskiego, opartego na zmianach terytoryalnych b. państwa polskiego, nie jest, zdaniem mojem, zasadniczym błędem. Pisząc w *Życiu* krakowskiem o podziale historyi polskiej „na podstawie typowych odmian ustroju społecznego,“ ja także nie przyjąłem zasady podziału, proponowanej przez Wojciechowskiego, ale zmieniłem też, wychodząc z innej zasady, podział tradycyjny — w większym stopniu, aniżeli to uczynił nasz autor. Dostrzegam mianowicie w ewolucyi dziejowej b. państwa polskiego następujące „typowe“ odmiany ustroju społecznego“: 1) okres grodowy od chwili zrastania się państwa polskiego z plemion słowiańskich w dorzeczu Wisły, po czasy Bolesława Krzywoustego; 2) okres feudalistyczny (nie „feudalny“), trwający do drugiej połowy XIII w.; 3) okres Polski stanowej po wiek XVI i 4) okres rządów stanu szlacheckiego po rok 1795. Z tych przeze mnie proponowanych okresów dwa pierwsze zlewają się z podziałem tradycyonalnym, a więc tak samo, jak w „Dziejach“; natomiast dwa ostatnie z podziałem dawnym zrywają. Wobec tego rozumie się, że podział tradycyonalny, zaopatrzony tylko nowymi tytułami, w zupełności zadawalać mnie nie może; o tyle jednak przekonał mię autor, że okres, który nazwałem „rządami stanu szlacheckiego,“ nie kończy się dopiero z r. 1795, ale już przedtem wraz z „reformami,“ które doprowadziły do wydania ustawy z 1791 r. Nie mogę, ani nie chcę tutaj w polemice bronić mego w części odmiennego zdania: ograniczę się na wskazaniu przyczyny głównej, która tę różnicę poglądów sprowadzić musiała. Jakkolwiek mianowicie autor uznał podział historyi polskiej na okresy, zazwyczaj przed nim przyjmowane, to jednak w dorobionych do nich nowych tytułach wyraził dokładnie zasadę historyozoficzną, z jakiej wychodzić zamierza. „Monarchizm,“ „upadek władzy monarchicznej,“ „kształtowanie się rzeczypospolitej,“ „rzeczpospolita szlachecka“ — są to wszystko wyrazy, które oznaczają stosunek społeczeństwa do zmieniającej się formy rządu w b. państwie polskiem. Społecznie jest dana forma rządu syntezą stosunków społeczno-prawnych; inaczej powiedziawszy, jest ustawowym wyrazem stosunku między społeczeństwem a rządem. W nazwach, nadanych okresom podziałowym historyi polskiej, wyraził tedy autor krótko, ale dobitnie, że w opracowaniu swem będzie się trzymał metody prawno-historycznej, tj. *mutatis mutandis* podobnie, jak Bobrzyński. Tak też rzeczywiście jest: czytając „Dzieje,“ mamy zawsze przed sobą na pierwszy plan wysunięte stosunki społeczno-prawne, podczas gdy w podziale, który zaproponowałem w *Życiu*, wysunąłem na plan pierwszy zmiany historyczne w ewolucyi gospodarczo-społecznej narodu, a jeśli mimo to w połowie się zgodziłem z autorem „Dziejów,“ to stało się tak dlatego, że czem dalej wstecz dziejów, tem widoczniejszą jest zależność danej formy rządu od warunków gospodarczo-społecznych. Zależność ta zresztą jest faktem także i we wszystkich okresach historycznych, tylko że ja ze względu na stosunki gospodarcze nazwałem trzeci okres „Polską stanową,“ autor zaś ze względu na tendencyę prawno-społeczną, w tej epoce już się objawiającą, nazwał go okresem „tworzenia się“ (tendencyi ku...) rzeczypospolitej szlacheckiej. Co do nazwy: „rządy stanów rzeczypospolitej,“ to różnica w stosunku do przyjętej przeze mnie: „rządów stanu szlacheckiego“ jest w tym wypadku jeszcze wyraźniejszą grą wyrazów tylko, zależną od danego zasadniczego punktu widzenia, aniżeli w nazwach okresu trzeciego. Gospodarczo-społeczny „rząd stanu szlacheckiego“ dzielił się w Polsce od XVI w. poczawszy, *ustawowo* na „rządy stanów rzeczypospolitej,“ tylko że stany te, tj. król, senat i izba poselska spoczywały na jednej wspólnej gospodarczej podstawie społecznej, tj. na zastępstwie prawnem interesów gospodarczych szlachty polskiej i to prawie bez wyłomów. Wyłomy rozpoczynają się dopiero w drugiej połowie XVIII w. i dlatego zgodziłem się na nazwę „próby reform,“ wprowadzoną przez autora „Dziejów.“ Co do nazwy ostatniego okresu, tj. „walka o byt narodowy i niepodległość“ to rozumiem, że nazwa ta ze społeczno-prawnego punktu widzenia autora jest usprawiedliwioną.

(D. n.).

Dr. Kazimierz J. Gorzycki.

RODOWÓD ŚWIĄT.

I.

Święta, powracające w prawidłowych odstępach czasu, stają się możliwemi dopiero na wyższym poziomie uspołecznienia; kiedy środki utrzymania odznaczają się stałością w swojem działaniu i dostarczają pewnego nadmiaru pożywienia, który pozwala społeczeństwu spędzić dzień jeden lub parę w odpoczynku, nieprzysparzającym dóbr materyalnych. Byt pierwotny, myśliwski, nie sprzyja takim powtarzającym się co dni kilka wczasom. Powodzenie na polowaniu zależy od mnóstwa, niedających się przewidzieć okoliczności: stan powietrza, posucha, powódź i wiele innych przyczyn mogą pozbawić człowieka wszelkiego zarobku i pogrążyć w długotrwałym głodzie, gdy trzeba silnie ściągać rzemyk, przepasujący biodra, ażeby brak pokarmu nie tak doskwierał. W takich warunkach niema miejsca na posiadanie zapasów spożywczych, ani na wczasy powtarzające się w prawidłowych odstępach czasu. I organizm, acz spracowany niekiedy, nie dźwiga jeszcze na sobie ciężaru systematycznej a nieprzerywanej roboty, pozbawionej nadto wszelkiej podniety wewnętrznej, i nie potrzebuje jeszcze wykrętów, dostarczających mu odpoczynku a przybierających kształty naszych „niedziel“ okresów „niedziałania.“ Zależność odpoczynku od pewnego nadmiaru wiktuałów, w chwili dzisiejszej zamaskowana przez zawiłość i nieprzejrzystość naszych stosunków społecznych, w okresie myśliwskim występuje bardzo wyraźnie. Święta bywają tam obchodzone, ilekroć przypadek da istocie ludzkiej do rozporządzenia obfitość środków spożywczych, tj. zastawi przed nią ucztę, i szczodrością pokarmu zdejmie troskę o dzień dzisiejszy i podnieci powszechną wesołość. Uroczystość taka posiada przedewszystkiem charakter emocyonalny, chodzi tam o zabawę, której zaczynają towarzyszyć praktyki zabobonne, właściwe dzikiemu szczeblowi filozofii kosmicznej.

„Jeżeli morze wyrzuci wieloryba na brzeg — pisze Dall o Aleutach — tuziemcy zbierają się na radosne a godne uwagi ceremonie. Uderzają oni w bębny różnej wielkości. Tańce posiadają znaczenie mistyczne. Niektórzy z pośród mężczyzn przywdziewają osobliwe ubiory, inni tańczą nadzy w wielkich maskach, spadających na plecy, i przedstawiają różne zwierzęta morskie.“

U Tutatów Kalifornii, kiedy wody morza wyrzucą na brzeg wieloryba, rozpoczyna się taniec wielorybi. Tubylcy, łącząc nawzajem ręce, tworzą korowód dokoła tej padliny wodnej ze śpiewami i radosnymi okrzykami i ucztują. Mieszkańcy N. Holandyi w takim przypadku rozpalają ognie i w ten sposób zawiadamiają sąsiadów, iż przyroda urządziła im bankiet. Przybywają setki dzikich i ucztują.

Wzięliśmy w paru punktach globu to samo zdarzenie, ażeby wykazać, jak na tym samym poziomie kultury istota ludzka jednakowo odpowiada na objawy przyrody. Atoli, prócz takich uroczystości w całem znaczeniu przypadkowych, już na owym szczeblu rozwoju, i prawdopodobnie i na wcześniejszych jeszcze, istnieją pewne obchody, związane z porami roku. Na wyższym stopniu uspołecznienia dają one początek wielkim świętom kalendarza. Są to uroczystości emocyonalne, pierwiastek radosnego usposobienia ducha stanowi tam zasadniczą część składową, przekazaną następnie świętom naszym przez najdawniejszy okres kultury. Odnajdujemy je u Australczyków i Andamańczyków, przedstawicieli najniższej dzikości. Są to zbory gromadne nieraz paru plemionek na tem sa-

mem miejscu, obfitującem w dojrzewające orzechy drzewa *bunya-bunya*, w jagody i nawet gumę drzewną, spożywaną przez tubylców. Są obławy, połączone z tańcami, gdy wesołość wzbiera i zamienia chwilowe współżycie na dni szału i pustoty — nasz karnawał zrodził się z takiego stanu ducha. Zdarzają się tam nawet dni pokutne, mianowicie kiedy posucha trwa zbyt długo, zabija zwierzynę i zagraża plemieniu głodem. O ile takie obchody z roku na rok będą przypadały w tym samym czasie, zależy to od otaczającej przyrody i od systematyczności podsuwanego przez nią jadła. Ale największa nawet prawidłowość, pozostawiona na łasce kaprysów natury, musi odznaczać się pewną niesfornością: owoc pewien może dojrzewać o parę tygodni wcześniej lub później, zwierzyna, żyjąca gromadami, może przeciągać przez pewne terytoryum o miesiąc rychlej lub zwlekać swoje nadejście. Systematyczność więc w powtarzaniu się takich dorocznych obchodów jest bardzo względną, święto. jak nasza wielkanoc, jest z konieczności w pewnych granicach ruchome. Ale wszędzie i zawsze, na niższych stopniach kultury, rozmieszczenie świąt wiąże się z działaniem sił przyrody, jako żywiołowego zbiornika żywności, co zwłaszcza uwydatnia się w tych okolicach, w których natura podsuwa człowiekowi pewien pokarm w nadmiernej obfitości. Ludy kalifornijskie, należące do liczby tych, które znajdują się na bardzo niskim poziomie kultury, dają przewyborne pojęcie o takim stosunku pomiędzy zachowywaniem się przyrody a obchodami świątecznymi.

Yurokowie odbywają taniec łososiowy wczesną wiosną, kiedy ta rzeczna zwierzyna zjawia się po raz pierwszy w rzekach, z nią zaś nadmiar jadła. Po odbyciu tańca następuje powszechna rozpusta. Plemię to jesienią w podobny sposób świętuje taniec jeleni. Inny lud kalifornijski, Karokowie, poprzedzają taniec łososi pokutą, mającą wybłagać u sił nadprzyrodzonych obfity połów. Ktoś z plemieńców udaje się wtedy na pustynię, ażeby przez czas pewien pościć i skruchą swoją zmazać grzechy rodaków. Taki „boży człowiek" przebywa tam dni kilka w modłach i umartwieniu.

U ludów kalifornijskich, zamieszkujących okolice jeziora Clear-Lake oraz wybrzeża rzeki Sacramento, istnieją święta, obchodzące zbiór żołędzi oraz pojawianie się ławic ryb. Uroczystości, „tańce," ciągną się przez dwa i trzy tygodnie.

Komachowie świętują dojrzewanie melonów; u Wintunów, gdy plony pól, lasów lub wód są obfite, posłowie biegają we wszystkich kierunkach i zwołują sąsiadów: zabawy po kolei trwają w jednej, drugiej i dziesiątej wiosce. Lud ten między innemi obchodzi uroczystość dojrzewania jadalnych szyszek pewnej sosny.

Zatrzymaliśmy się nad plemionami Kalifornii. Lecz to samo spostrzegamy i na wyższych szczeblach pierwotnej kultury. Orinokowie obchodzą zbiór pewnych orzechów jako święto publiczne i zgromadzają się w tym celu w domu gminnym. Koroadowie i Purjowie Brazylii sprawiają święta. jak ktoś nas zapewnia, bez względu na porę roku [illegible] dojrzewanie płodów zaś jest przyczyną obchodów. Wankowie Afryki świętują w styczniu, kiedy jadła bywa najwięcej; na ten miesiąc przypada większość ich uroczystości.

Szczątki takiego rodzaju świąt, w sposób bezpośredni a widoczny związanych z nadmiarem pewnego daru przyrody, możemy odnaleźć i w pobliżu nas samych. Może „świeca" pasiecznikow na Białej Rusi dostarcza najcharakterystyczniejszego przykładu. Obchodzą oni tę uroczystość jesieni. O zmierzchu cała wioska zbiera się w tej samej chacie. Każdy gospodarz przynosi bochenek chleba i ciasto z wosku, kobiety zaś mięso, naczynia i łyżki. O starodawnym pochodzeniu tej uczty świadczy okoliczność, iż mężczyźni siedzą przy stole odrębnie od niewiast.

Wszystkie te święta posiadają fizyonomię pokrewną: są to uroczystości emocyonalne. Nadmiar jadła, podniecający wszelkie żądze organizmu i prowadzący do swawoli, zamieniał takie obchody na kilkodniową orgię. Przejście od myśliwstwa do rolnictwa działa na to podłoże w paru kierunkach. Samo rolnictwo polega na tem, że człowiek narzuca swoją wolę przyrodzie i zniewala ją do produkowania pokarmu na miejscu z góry wyznaczonem. Przyroda zostaje poddana pod rozkazy istoty ludzkiej i wraz z tem święta zyskują w czasie także charakter stalszy i prawidłowszy. Powtóre, filozofia sił natury, teozoficzna co do swojej formy, jest na tym szczeblu lepiej opracowaną: pierwiastek religijny w stopniu coraz większym wsiąka do obchodu, pierwotnie tylko emocyonalnego. Wreszcie wzrost żywiołu religijnego sprawia, że lud składa dziękczynienia bóstwom i stara się przebłagać je za swoje wykroczenia nietylko wtedy, gdy plony już spoczęły w spichlerzach, ale i kiedy zboże dopiero kiełkuje lub dojrzewa i trzeba wyprosić urodzaj.

Święta Iroków, ludu, który znajdował się w początkowej fazie rolnictwa. i Hoów w Indyach Przedgangesowych, rolników-barbarzyńców, dadzą nam najlepsze wyobrażenie o kształtowaniu się uroczystości w zależności od materyalnych warunków bytu społecznego u rolników.

U Iroków święta czysto rolnicze wiążą się jeszcze ze świętami, właściwemi myśliwskiemu trybowi życia i obchodzącemi zbieranie płodów dzikiej przyrody. Morgan podaje ich listę, nazwisko zaś tego znawcy stosunków tamtejszych dostarcza rękojmi, iż jest ona dokładną. Pierwszem co do czasu w roku świętem jest taniec klonowy, zwany także składaniem dziękczynień klonowi. Pierwotnie dziękowano samemu drzewu lub, co prawdopodobniejsza, jego „sile," później zaś, gdy rozwój umysłowy stanął wyżej, Wielkiemu Duchowi. Obchodzono tę uroczystość w porze, w której sok słodki zaczynał wydobywać się z pnia klonów. Powszechna jawna spowiedź towarzyszyła ucztom. Po obchodzie klonu następowało drugie święto: uroczystość sadzenia, po której, jeśli deszcze nie padały, odbywał się obchód przebłagania planetników. Spowiedzią oczyszczano się z grzechów, którym przypisywano trwanie posuchy. Trzecie wielkie doroczne święto słynęło pod nazwą święta poziomek, w porze kiedy ta jagoda dojrzewała: niekiedy obchodzono jeszcze inną pokrewną uroczystość, czarnych jagód. Podczas formowania się kiści kukurydzowych świętowano obchód zielonej kukurydzy. wreszcie po zebraniu plonów spełniano dożynki, połączone z hołdami i dziękczynieniami Wielkiemu Duchowi.

U Hoów święta noszą charakter bardziej rolniczy. co jest w harmonii z odwieczną osiadłością tego ludu. W styczniu przypada tam uroczystość, znana pod nazwą Dedarli Bonga, kiedy spichlerze są pełne zboża, ludzie zaś, jak Hoowie powiadają. wszelakiej chuci. Święto to, mające charakter obchodu noworocznego. jest rodzajem saturnalii. Hoowie rozumują, iż w tej porze złe duchy zaludniają przestwory: odbywają więc z kijami w ręku procesyę po wszelkich zaułkach wioski i wypędzają moc nieczystą. Po takiem oczyszczeniu okolicy następuje post. po nim zaś wyładowanie namiętności. Drugie święto, Bah Bonga. przypada w porze, kiedy drzewa salowe pokrywają się kwieciem. Większość wiosek rozsiadła się na gruntach, które wykarczowano z pod gajów salowych. Rudunek nowych gruntów jest rozpoczynany dopiero po tej uroczystości. Damarai, trzecie święto. przypada w maju. gdy nastąpił czas siejby ryżu. Obchód winien przebłagać zmarłych przodków, którzy, nie uproszeni, niszcząc się powstrzymaliby kiełkowanie posiewów. Hero Bonga, obchodzone w czerwcu, ma ściągnąć wszelkie błogosławieństwa na świeże zasiewy. Podczas Bahtowli, w Lipcu, każdy gospodarz poświęca kurę i dokonywa innych obrzędów dla wyproszenia, ażeby ryż dojrzał. W porze żniw obchodzą święto składania w ofierze pierwszych płodów. Dopóki tego nie dokonano, nie wolno jeść ryżu. Jest to uroczystość dziękczynna. Wreszcie ostatniem świętem w roku jest uroczystość usuwania słomy ryżowej z miejsca młocki.

Widzimy, jak rolniczy tryb życia rozszerza okazyę świąt: są one obchodzone nietylko wtedy, gdy istnieje nadmiar płodów, lecz także i naówczas gdy trzeba wyprosić urodzaje. Taki żywioł religijny zwłaszcza wzrasta u tych ludów, jak Zuniczycy, które przebywają w okolicy suchej i gdzie opadki atmosferyczne posiadają niezmiernie wielkie znaczenie. Powstaje tam cały szereg uroczystości, dążących, za pomocą modłów i tańców, do wyjednania łaski niebios. W każdym razie powyższe wywody pokazują, iż za czasów myśliwstwa i barbarzyńskiego rolnictwa święta wiążą się ściśle z warunkami bytu. Ażeby je poznać u któregoś pojedynczego ludu, musimy przedewszystkiem zrozumieć jego otoczenie materyalne i właściwe mu źródła utrzymania, słowem podłoże rzeczowe.

Jest to jeden ze strumieni dziejowych, potężniejący wraz z rozwojem kultury i na grzbiecie swoim wynoszący z pomroku dziejowego pewien układ świąt. Działa przecież tam jeszcze potok inny — peryodyczności astronomicznej. Oba na pewnym szczeblu zlewają się w zwartą całość. Temu drugiemu strumieniowi przyjrzymy się w przyszłym artykule.

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

UPADEK TEATRU.

II.

Umysłowe zakresy dramaturgów współczesnych są wprost haniebnie ciasne. Nie będziemy się zastanawiali nad Dumasem synem, zwykłym brukowym moralistą, powtarzającym oklepane ogólniki, dobre dla nianiek i dorosłych dzieci, ani nad Sardou, dla którego dramat sprowadza się do wymyślenia zręcznej i efektownej intrygi. ale weźmy taki filar dramatu współczesnego, jak Ibsen. Otóż człowiek ten nie prowadzi bynajmniej za sobą epoki, lecz jest przez nią wciąż prowadzony i wyprzedzany — dla niego pozostały nawet tajemnicą te pogodne szczyty syntezy filozoficznej, do których myśl naukowa naszych czasów dobiegła. Ibsen jest jedną z najbardziej pogmatwanych i niesystematycznych głów, jakie tylko wyobrazić sobie można. Każde następne jego dzieło zadaje kłam myślom, zawartym w poprzedzających i nie jest to zdrowa ewolucya, zjawisko wzrostu zdążającego do dojrzałości, lecz tylko dowód myśli niewyćwiczonej i powierzchownej. Jak chorągiewka na dachu. obraca się za każdym nowym powiewem literackim. a teorye naukowe rozwoju są mu zupełnie obce. Że ten wrzekomy inicyator zawsze był wyprzedzany i kierowany przez prądy literackie, na to mamy moc dowodów.

Ibsen rozpoczął swą karyerę dramaturga w r. 1850, tj. gdy romantyzm w Europie zachodniej już przekwitł — i dał cały szereg spóźnionych dramatów romantycznych: w „Nocy świętojańskiej," gdzie naśladuje baśnie Shakespearowskie, w „In-

gard z Oostraat," gdzie stara się połączyć w jedną całość Makbeta i Hamleta—wiadomo, jak romantycy wszystkich krajów łupili mistrza angielskiego — w „Święcie Solhaugt," pisanem w stylu trubadurowym, w „Wojakach Helgolandu," zapożyczonych z mitologii skandynawskiej, w w „Pretendentach do korony," pisanych w duchu kronik historycznych Shakespeare'a, w „Komedyi miłości," przypominającej sztuki Musseta. Nareszcie w „Cezarze i Galilejczyku," w „Brandzie" i „Peer Gyncie" czuć tylko jakby chęć wydobycia się z pod władz zmory romantycznej, która w zupełności opanowała umysł autora. Te ostatnie dramaty odświeżył on kilku tezami filozoficznemi i moralnemi w duchu Quineta, Micheleta, G. Sanda i E. Suego. Tak ubiegło mu lat 25 od r. 1850 do 1875. Wszystkie te utwory są wyrazem zwykłego młodzieńczego szamotania się. Jest to prawdziwy chaos myślowy, w którym chęć dobra społecznego, arystokratyczność smaków, rewolucyjność instynktów, wolna miłość, nienawiść dogmatów łączą się z wiarą w konieczność uczucia religijnego. Jest to prawdziwa filozofia aptekarza, pełna tyrad *à la* G. Sand, Hernani i Rousseau. We wszystkiem tem Ibsen, jako członek społeczeństwa zacofanego, spóźnił się o całe pół wieku.

W r. 1875 porzuca kwestye historyczne i romantyczne, starając się malować życie realne, uczynił to więc wówczas, gdy realizm doszedł w Europie do pełnego rozkwitu, a może i do przekwitu, gdy Flaubert i Goncourtowie ustępują miejsca naturalizmowi i impresyonizmowi. Społeczeństwa, wlokące się w ogonie cywilizacyi, przechodzą zwykle też same koleje. Taką spóźnioną wobec Europy i zapożyczoną od niej krytyką parlamentaryzmu, stronnictw politycznych i reform częściowych są „Zjednoczenie młodzieży" i „Podpory społeczeństwa." Być może, iż dla Norwegii wszystko to było nowe, ale w literaturze europejskiej wszystko to poprzednio już opracowane było przez Flaubertów, Daudetów, Augierów itd. „Nora" zapożyczona jest z galeryi kobiecej Dickensa, przerobiona według programu G. Sanda, gdyż należy pamiętać, iż w Ibsenie, nawróconym na realizm, do końca odzywać się nie przestanie zmora romantyzmu. Tłum jest ciemny i przywiązany niewolniczo do potrzeb materyalnych — jego przewodnicy chcą go utrzymać w tym stanie — ci zaś, co dążą do zmiany tego stanu rzeczy i wysuwają naprzód ideały moralne, podlegają niebezpieczeństwu ukamienowania. Czyż należy dodawać, iż to intencye „Wroga ludu" były tysiąckrotnie poprzednio opracowano w powieści i w dramacie?

Tymczasem realizm tendencyjny, w duchu rosyjskim i angielskim, inaczej mówiąc, rzeczywistość upiększona ideałami (w których czuwały ostatnie widma romantyzmu) do reszty zaczął umierać. Naturalizm Zoli stał się kierunkiem modnym i Ibsen nie omieszkał podążyć za nim. Tak powstały „Zmory," broniące na scenie teoryi dziedziczności, którą Zola zaczął zastosowywać już w r. 1871 do romansu. Ibsen, zapożyczając tę teoryę od francuskiego pisarza, był zarazem jednak już muśnięty przez teoryę Nietzschego; mamy więc tu jednocześnie i dążenie do „radości życia," zapewnianej przez naturę, którą fałszywe wychowanie w nas zdusza. Długo Ibsen uwięziony był w sieciach romantyki, to też spieszno mu było popisać się ze wszystkiemi modnemi teoryami, które galopowały po nowszej literaturze. Do kompletu brakło już tylko teoryi wpływów środowiska i otoczenia. Podjął ją w „Rosmerholmie," gdzie daje także psychologię zgryzoty, tak dobrze poprzednio opracowaną przez Dostojewskiego. Nie trudno także wykazać na Ibsenie wpływ Turgeniewa, a głównie Tołstoja. W „Pani morza" i w „Heddzie Gabler" daje wzorem ogólnym naturalizmu studyum kobiecej newrozy. Nareszcie i tu kierunek pseudo-naukowy się wyczerpał. Pod wpływem Nietzschego, Maeterlinka, Oskara Wilde'a, Tołstoja itd. zapanował w literaturze europejskiej jednocześnie symbolizm, dekadentyzm, kult nad-człowieka i zarazem litości. Ibsen uległ wpływom tych teoryj modnych, tak samo, jak poprzednio uległ wpływowi tylu innych. Stąd te dziwactwa, jak „Mistrz Solners," „Mały Eeyolf" itd.

Jest to umysł nie samodzielny, ale zarazem talent artystyczny pierwszorzędny. Wszystkie jego tematy i typy są zapożyczone, ale następnie bardzo dobrze zastosowane do warunków skandynawskich. Brak samodzielności umysłowej spotęgowany został przez to, iż autor nie posiada gruntownego wykształcenia filozoficzno-naukowego. Istotnie, gdzieżby mógł je zdobyć, on, który naprzód był uczniem aptekarskim, potem dziennikarzem i w końcu reżyserem? Może się bez takiej myśli systematycznej obejść artysta w zawodzie specyalnym, albo poeta liryczny lub wreszcie pisarz jasełek teatralnych dla gawiedzi, ale nie dramaturg, mający pretensye być inicyatorem. Otóż myśli Ibsena są zupełnie niezwiązane. Jest on raz po raz, albo też jednocześnie nawet, za i przeciw społeczeństwu, moralności, rodzinie, prawdzie itd. Wszystkie systemy ścierają się z sobą w jego głowie, wykonywając harce niemożliwe. Pochodzi to może nie tyle ze słabości jego myśli, ile z jej nieprzygotowania, gdyż Ibsen jest oczywiście dyalektykiem, upijającym się ideami bardzo chętnie, ale, niestety, nie umie ich przetrawić. Ewolucya jego nie wydaje się jeszcze zakończoną — bodaj czy nie stanie się on jeszcze mistykiem lub mormonem, jeżeli moda tego zażąda — dlatego wprost, iż nie jest to wzrost naturalny, lecz bystre wyczuwanie prądów chwili i powierzchowna ich asymilacya.

Głównie krytycy francuscy — Lemaître, Larroumet, Faguet, Doumic, Sarcey i inni przyczynili się do podorwania powagi Ibsena, wykazując tę niesamodzielność jego myśli. Brandes, który od tych napaści starał się obronić przyjaciela w *Cosmopolisie* — czynił to niezręcznie, twierdząc, iż bynajmniej nie jest rzeczą poety tworzyć myśli oryginalne, iż on może się zadawalać wyrażeniem artystycznem tych, które filozofowie i uczeni wygłaszają. Na pogląd ten, sprowadzający dramaturga do roli popularyzatora najrozmaitszych teoryj metafizycznych, chociażby sprzecznych i z pominięciem głównej, tj. teoryi ewolucyi, żeby uczynić je bardziej strawnemi i przystępnemi dla gawiedzi — nie godzimy się. Trudno zaprzeczyć, iż taki teatr jest potrzebny, ale on nie wystarcza, gdyż nie uratuje dramatu od tej ruiny, która mu grozi, nie maluje tej syntetycznej konieczności, która rządzi światem i której wszyscy bez szemrania, zgodnie poddać się będziemy musieli.

Jeżeli Ibsen nie umie odkrywać praw abstrakcyjnych, które rządzą światem, to bardzo dobrze natomiast maluje jego strony konkretne i znakomicie oddaje atmosferę moralną swej ojczyzny. Ten indywidualista, pogrążony w sobie, umie dokładnie spostrzegać. Jest on często rozwlekły i niezręczny — w ruchu intrygi, w budowie sztuk, gdzie Francuzi są dlań ideałem niedoścignionym; ale nigdy banalny, ani mierny; bywa często niezrozumiały, ale nigdy — nudny. Osoby działające żyją w jego teatrze istotnem i natężonem życiem. Właściwość kolorytu, ścisłość i bogactwo terminów i forma oryginalna jego sztuk czynią zeń mistrza ożywionego słowa. Tych zalet wystarczy i nie należy mu przypisywać takich, których nie posiada: miał wrzekomo odnowić w zupełności treść i formę teatru. Treść jest stara, a forma czysto miejscowa, norweska, niedająca się naśladować i niemająca charakteru ogólnego. Toż samo, w wyższym tylko stopniu, można powiedzieć o Hauptmanie. I on oczywiście rzuca się na wszystkie strony, wyczuwając kierunki, ale nie jest w stanie pochwycić tego, który jest najogólniejszym, jedynie podatnym dla syntezy dramatycznej naszych czasów. Teorya powszechnej ewolucyi wprowadza w sprawy ludzkie takąż prawidłowość, jaką wprowadzało starożytne fatum w tragedyę grecką. I dlatego sądzimy, iż przyszłość, zwłaszcza gdy nauka stanie się wspólnym węzłem duchowym większych rzesz ludzkich, odrodzi nam tragedyę i doprowadzi ją do potężniejszych i doskonalszych rozmiarów, niż starożytną. Oczywiście nie da jej Hauptmann ze swą niesystematyczną, prawie dziecinną myślą, która od materyalizmu „Tkaczy" przeskakuje do religijności „Hanki."

Chwilowy upadek teatru objaśniam sobie głównie zanikiem talentów twórczych, w których artyzm łączyłby się z dość potężną myślą naukową i syntetyczną. Mówią nam, iż życia publicznego niema. Jest to pogląd dość powierzchowny. Raczej możnaby już szukać przyczyny w zróżniczkowaniu życia, które czyni, iż różne warstwy społeczne są nazbyt odrębne i nie rozumieją się wzajemnie. Tak, ale każda taka warstwa jest liczniejsza, niż cały naród ateński starożytny. Niechby więc istniały odrębne teatry artystyczne dla każdej warstwy, ale one nie istnieją. Jeżeli sztuki są liche, nikogo nieinteresujące, to przyczyny szukać należy nietylko w obniżeniu smaku publicznego, które z rozwojem demokracyi coraz bardziej staje się oczywistem, ale w zaniku teatrów. Wprawdzie wzrost samolubstwa niszczy zdolność admiracyi i to osłabienie węzłów społecznych nie jest odpowiednie dla dobra dramatu. Ale ono nie wystarcza dla zrozumienia upadku teatru. Tak zwana oligantropia, zanik ras wyższych, była przyczyną upadku sztuki we wszystkich wielkich epokach teatru, a nietylko osłabienie węzłów społecznych*). Toż samo dzieje się obecnie. Przedstawmy sobie, iż naraz pajęczyna zaczyna znikać i po długich badaniach znaleziono, iż pajączki zaginęły. Tak się dzieje z dramatem. Dajcie nam talenty, a one nietylko odrodzą teatr, ale odtworzą najwyższą tragedyę ludzkości, bo tragedyę myśli.

Dr. L. Winiarski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Z Nowym rokiem.

Zakończono stary rok w Rozmaitościach odegraniem czteroaktowej komedyi Fuldy p. t. „Koledzy szkolni," w przekładzie Antoniego Langego. Sztuka ta, na wskróś niemiecka, nie wywarła na krytyce naszej korzystnego wrażenia. Nie zamierzamy bynajmniej zajmować się obroną płodu Fuldy; mamy raczej na ustach pytanie, jakie wymagania krytyka stawia teatrowi, czego żąda i czy wypowiadała jasno i wyraźnie swoje żądanie.

Znamy dwa rodzaje krytyków. Jeden rodzaj kocha sztukę, posiada ideały, dąży i zmusza do dążenia w jakimś określonym kierunku, broni i gani z temperamentem w imię ideału, wywiera korzystny wpływ na scenę, podnosi jej stopę artystyczną, czuwa nad repertuarem, wiąże historyę jego z historyą sztuki, umie w porę rozentuzyazmować publiczność lub w chwili właściwej zdjąć jej z oczu bielmo, nałożone przez reklamę. Inny rodzaj krytyków nie kocha sztuki i może nie kocha nawet społeczeństwa, dla którego ona jest przeznaczona, nie posiada żadnych ideałów artystycznych,

*) Por. „Jeszcze o dramacie," *Prawda*. 1898.

kładzie się kamieniem pod wszelką dążność, gani wszystko jak mizantrop i chwali również jak mizantrop, zbija z tropu zarówno publiczność jak i aktorów. Ponieważ na czele naszych teatrów stają zazwyczaj artyści dramatyczni, ludzie niezmiernie wrażliwi na głosy recenzentów i to wrażliwi z smutnej konieczności, ponieważ długotrwała publiczna nagana podmywa ich stanowisko, ponieważ wreszcie wyrobiła się u nas specyalna „premierowa" publiczność, która poczęła decydować o losach wystawianych sztuk, przeto ów drugi rodzaj krytyków może w danych warunkach wywrzeć niezmiernie szkodliwy wpływ na stan teatru. Krytyków-syntetyków niedużo na świecie; natomiast od owych krytyków-bezkierunkowców roi się jak w ulu. Są to w dodatku ludzie zazwyczaj mało związani z ciałem i z duszą społeczeństwa, które postanowili estetycznie pouczać, złączeni z owem społeczeństwem nieraz jak gdyby tylko mechanicznie; owa premierowa publiczność składa się również w znacznej części z istot, które „czują" lepiej Paryż, niż Warszawę. Publiczność ta głosi wprawdzie, iż lekceważy owych krytyków, w istocie jednak słucha ich, obala łącznie z nimi to, co stać powinno, i zmusza resztę publiczności do gustowania w rzeczach, które jej się podobać nie mogą, albo do pomiatania utworami, które jej się podobać powinny. Przecież jest to chyba aż nadto bijącą w oczy sprzecznością, że niby jedna i ta sama publiczność, która w literaturze doby obecnej kocha się w romantycznych Kmicicach i zamaszystych Zagłobach, na scenie uznaje tylko francuskich wicehrabiów i kochanków porcelanowych.

Krytyka wyrobiła taki teatr, na jaki zasłużyła. Ona niema właściwie prawa narzekać. Jeżeli teatr Rozmaitości posiadał repertuar, to krytyka wpływem swoim rozbiła go, a przynajmniej w znacznej części przyczyniła się do jego rozbicia.

W tej jednak chwili nasuwa się nam jeszcze ważniejsza uwaga. Jeżeli utyskujemy na stan krytyki, na pewne obałamucenie publiczności, na upadek repertuaru, to winniśmy przedewszystkiem stwierdzić, iż wina leży również po stronie teatru. Nie posiadamy właściwie porządnej sceny, odpowiadającej wymaganiom sztuki w obecnym jej rozwoju. Teatr Rozmaitości, to stara, ciasna odwieczna buda. Dyrekcya teatrów zrozumiała to i postanowiła budę ową przerobić. Ponieważ jednak do przeróbki jeszcze nie przystąpiono, zatem i dyskusya na ten temat nie powinna być jeszcze zamknięta. Przeciwnie, powinniśmy ją podtrzymać i ujawnić dyrekcyi nasze zapatrywania na tak ważną zarówno dla nas, jak i dla niej sprawę.

Nic gorszego nad przebudowy. Tak wielkie miasto, jak Warszawa, zasłużyło chyba na nowy, wielki gmach, poświęcony dramatowi, gmach postawiony w miejscu odpowiedniem, niewciśnięty pomiędzy coraz bardziej rozwielmożniającą się operę i sale redutowe, gmach, posiadający wszystkie udogodnienia i urządzenia techniczne, jakich wymaga sztuka, oraz wygody, jakich wymaga publiczność. Obecna scena Rozmaitości jest antytezą tego wszystkiego. W takim przybytku, o jakim mówimy, możnaby nietylko wspaniale grać, ale i wspaniale słuchać. Że postawienie podobnego gmachu opłaciłoby się materyalnie, to rzecz pewna. Rozmaitości w dzisiejszym stanie nadają się właściwie dla produkcyi szkoły dramatycznej, ale nie dla gry artystów pierwszej naszej trupy. Zachodzi jeszcze niezmiernie ważna okoliczność, która zaleca pomieszczenie dramatu w osobnym gmachu. Jeżeli w teatrze Wielkim grają operę, w Rozmaitościach dramat lub komedyę, a równocześnie zapowiedziano koncert w salach redutowych, to napływ publiczności i dorożek przybiera w najbardziej ożywionym punkcie miasta charakter takiego tłoku, że policya rady sobie z nim dać nie może, publiczność spóźnia się na widowiska nieraz o jakie pół godziny i wytwarza się rozdrażnienie, które działa nader przygnębiająco. Nie zwrócono jakoś dotąd na to uwagi. Przypuszczamy, że dyrekcya teatrów, która podobno z nadesłanych planów i projektów przebudowy teatru Rozmaitości nie jest zadowolona, rozejrzawszy się w tej sprawie, rzuci owe projekty do kosza i zajmie się myślą postawienia gmachu nowego w innem zupełnie miejscu.

Panu Przybylskiemu również nieco ciasno w teatrzyku przy ulicy Chmielnej. Mniemamy, że gdyby znalazł poparcie finansowe i poprostu wybudował teatr, teatr prawdziwy, to nietylko przysłużyłby się sztuce i Warszawie, ale zrobiłby dobry interes. Jeżeli jedna kieszeń nie wystarcza na podobne przedsiębiorstwo, to czy nie dałoby się utworzyć spółki?

Zastanówmy się nad tem, czem są nasze widownie w porównaniu z widowniami innych miast, a kto wie, czy nie znajdziemy wymownej odpowiedzi na pytanie, dlaczego sceny nasze nietylko się nie rozwijają, ale upadają.

Andrzej Niemojewski.

MALARSTWO I RZEŹBA.

Salon Zachęty. — Salon Krywulta.

Miewa swoje jaśniejsze chwile, w których ze śpiączki swej się budzi, nawet i Salon Zachęty. Tak przywykliśmy widzieć na ścianach jego pełzającą stale pleśń, obok której dumnie rozpiera się nędzota, że ta odrobina świeższych nieco dzieł i nazwisk samą siłą kontrastu mile drażni wzrok. Widywaliśmy tam i widujemy, co prawda, od czasu do czasu jakieś dzieło sztuki prawdziwej, lecz jest to taka rzadkość, że zarząd wystawy chowa je natychmiast pod klosz, tj. do oddzielnej przegródki i pokazuje nam je, jak „cudowne dziecko," za specyalnymi biletami. Teraz jednak pozwala oglądać „wystawę popisową" oraz prace konkursowe (rzeźbiarskie) bez haraczu nadprogramowego.

Na pierwszą złożyły się przeważnie prace artystów młodych, którzy się dopiero dobijają imienia, lub też — od niedawna uznaniem się cieszą. Gdy więc patrzymy na ich płótna, widzimy przed sobą jak gdyby księgę, z której przyszłość sztuki naszej, przyszłość choćby najbliższą, odgadywać mamy prawo. Nie różowo zapowiada się ona, przynajmniej gdy chodzi o kolonię artystyczną warszawską. Punkt ciężkości w rozwoju sztuki naszej przechylony za kordon przez Matejkę i Grottgera, od nas znów ucieka po niewielkich wahaniach. Jeśli prawdą jest, że są okresy takie, w których ogromny kapitał geniuszu lub wielkich talentów zmienia się na drobne — talenciki i zdolności, to my u nas ten okres teraz chyba przeżywamy. Próżno na tej wystawie, którą *Kuryery* nazwały popisową, szukamy dzieła jakiegoś wielkiego, oryginalnego talentu. Niema śród wystawców żadnego, o którym moglibyśmy powiedzieć: „ot ten jakąś nową drogą znalazł, jakiś prąd, jakiś powiew nowy zwiastuje." Wszystko to już było...

Nie znaczy to jednak wcale, aby „wystawa popisowa" pozbawioną była rzeczy ładnych i ciekawych; owszem, są między niemi takie, na które popatrzeć warto. Przeważają śród nich studya portretowe, które tu najpoczesniejsze chyba zajmują miejsce. St. Lentz wystawił parę portretów, które posiadają wszystkie dawne i mocno zakorzenione wady i zalety wszelkich prac swego twórcy: ostrość i twardość linij a jednocześnie dużą siłę charakterystyki. Badowski nowemi pracami swemi stara się dowieść, że potrafi również tworzyć rzeczy mdłe i słabe. Natomiast Szańkowski, chociaż modelom każe czasem przybierać nieestetycznie — komiczne pozy, każdym nowym portretem swoim dowodzi, że człowieka odtwarzać umie. Prawda psychologiczna, gdy chodzi o treść, i sumienność w wykonaniu — oto jego cechy charakterystyczne. Niewątpliwie jednak śród wszystkich nagromadzonych tu portretów pierwsze miejsce zajmują studya Hersztejna. O tym malarzu wiedzieliśmy dotąd tylko tyle, że mieszka w Monachium i tam pracuje; żadnego płótna jego w Warszawie nie oglądaliśmy. Pierwszem wystąpieniem swojem odrazu umiał zaciekawić. Herszteín jest najoczywiściej zwolennikiem kierunku, stworzonego przez Francuzów, a nazwanego przez nich „wibryzmem." Na czem on polega? Przedewszystkiem „wibryzm" nie oznacza bynajmniej jakiegoś nowego łożyska, którym prąd myśli twórczej płynie; jest to tylko pewien szczególny rodzaj techniki malarskiej. Wiemy, że powietrze, po części pochłaniając światło, po części je rozpraszając, sprawia, że przedmioty oddalone wydają się nam zamglonymi. Przyjmuje to pod uwagę t. zw. perspektywa powietrzna, wibryści zaś do faktu tego przywiązują wagę szczególną. Otoczyć obraz możliwie największą warstwą powietrza — oto cel „wibryzmu." Hersztejn osiąga to dość prosto; zdaje się, że dla wywołania efektu jakiejś barwy złożonej nakłada jedną na drugiem kolory ją składające, przez co barwa sama wychodzi nieco mglistą; prócz tego w właściwy sobie sposób marszczy artysta powierzchnię barwną, która dzięki temu rozprasza silniej światło, wywołując pożądany efekt. Wszystkie te sztuczki nie przeszkadzają Hersztejnowi malować ludzi bardzo prawdziwych i bardzo żywych; przeciwnie, maniera jego potęguje jeszcze wrażenie rzeczywistości.

Do kategoryi studyów zaliczyć należy i „Handlarzy" Trębacza. Są to dwa typy, umieszczone na jednem płótnie, bardzo ciekawe i naturalne, lecz nietworzące żadnej całości, gdyż między działającemi osobami nie rozgrywa się żadna „akcya."

Wystawił i Leon Kaufman jedno ze swych oryginalnych, w archaicznym stylu utrzymanych studyów, które posiadają tę zaletę, że złudzenie życia wywołuje w nich malarz bardzo skromnymi, pozbawionymi wszelkiego taniego efektu środkami, i tę jednocześnie wadę, że wszystkie niemal odznaczają się monotonią kolorytu. Zdaje się, że Kaufman za bardzo ukochał „sepię." A szkoda, bo umie on i inne rzeczy malować, chociażby tę ulicę wieczorem, w której światło latarń tak prawdziwie walczy z zapadającym zmrokiem.

Wieś i chłop stają się coraz bardziej częstym tematem dla naszych malarzy; nie brak motywów tych i na wystawie obecnej. Ryszkiewicz dał doskonałego chłopa, odwożącego chorą żonę do znachora; dobrym jest stroskany, stojący u wozu mąż, wyborną jest typowa, wychudzona chłopska szkapina, natomiast sama chora oraz jakiś niewyraźny, jak gdyby z fantazyi malowany, i w „szarym sosie" skąpany krajobraz malarzowi się nie udały.

Dał jeden krajobraz Popowski. To już nie księżycowa noc, nie moczary. Jest polanka leśna w dzień ze stawem w głębi i ze złamaną, suchą, martwą sosną, na której siedzi młoda kobieta. I w całym tym pejzażu niema nic ciekawego, prócz tego może czysto przypadkowego kontrastu bardzo suchej, trupio suchej sosny i jak gdyby wykwitającej z niej bardzo młodej, bardzo żywej dziewczyny.

Do rzeczy ładniejszych należą „Praczki" Pawła Rosena oraz mały obrazek tegoż artysty, przedstawiający chłopa na wózku, zapalającego pod wiatr papierosa.

Oba obrazki bardzo proste w pomyśle, bardzo sumiennie, nawet subtelnie wykonane, świadczą, że malarz pracę swą traktuje ze szczerem oddaniem się, z miłością dla tematu, bez względu na jego prostotę, i z poszanowaniem sztuki. A gdy dodamy do tego wielkie poczucie natury i ruchu, to się przekonamy, że twórca nagrodzonych niegdyś na konkursie „Kur" nietylko kury malować potrafi.

Nim przejdziemy do wystawy konkursowej (rzeźbiarskiej), zatrzymajmy się w salonie środkowym przed rzeźbą Godebskiego: „Niewinność tworząca niewinność." Co prawda, wolelibyśmy ją nazwać „Niewinność tworząca boleść," bo z pod dłuta młodego chłopca wyszła prędzej Matka Bolejąca, niż Przenajświętsza Dziewica, lecz mniejsza o tytuł. Rzeźba dzięki oryginalności samego pomysłu oraz umiejętnej kombinacyi białego i żółtego marmuru i bronzu, tworzy śliczną, harmonijną i dziwnie sympatyczną całość. W tym drobiazgu Godebski pokazał swe ostre pazury lwa.

W tym samym salonie mamy jeszcze doskonałą „Nędzę" (rzeźba) Turquiera, w postaci nagiej, wychudzonej kobiety, oraz dwa studya (malarskie), noszące nieznajomy podpis „Sylwia Raysky." Jedno z tych studyów (głowa dziewczyny) pociąga mimowoli ogromną siłą wyrazu, zawartego szczególnie w znakomicie namalowanych oczach; takiej doskonałej pracy malarza-kobiety nie widzieliśmy już oddawna.

A teraz przejdźmy do wystawy konkursowej. Czy przyniosła ona coś ciekawego? Niewiele — bo tylko prace dwu artystów. Reszta — to albo rzeczy wprost nieudolne, albo zlepki gliny, w których twórcy zaledwie zaznaczyli ogólny układ grup. Sędziowie nie mieli pracy ciężkiej: nie można było nic nagrodzić oprócz malarstwa i rzeźby p. Otto ze Lwowa i prac (na ten sam temat) Wasilkowskiego. Ostatnie odznaczają się może większym polotem artystycznym, natomiast pierwsze — powagą pomników. Które z nich wolelibyśmy widzieć na frontonie gmachu Towarzystwa — określić trudno: pierwsze— ze względu na treść, drugie — z powodu formy. Artyści, jak np. w danym razie Otto, nie chcą zazwyczaj pamiętać, że rzeźbiarstwo (i malarstwo) *pomnikowe* stanowi tylko gałąź pomocniczą architektury, że najpiękniejszy posąg, umieszczony na frontonie gmachu, będzie raził, jeśli układ jego, a przedewszystkiem styl, nie odpowiada stylowi gmachu. Otóż w danym razie, jak się zdaje, gotykiem tchnące rzeźby nie bardzo będą odpowiadały klasycznym, renesansowym liniom przyszłej siedziby Towarzystwa Zach., dlatego też ze względu na ową harmonię wydają się nam bardziej odpowiedniemi przez swój styl prace Wasilkowskiego.

* * *

Gdy, błądząc po wystawach i muzeach współczesnych, przyglądamy się wytworom sztuki z doby bieżącej, próżno szukamy rysów znamiennych, które kierunkowi jakiemukolwiek dawałyby przewagę śród masy ścierających się między sobą prądów. Przyszły historyk sztuki, jeśli tylko przetrwa wrodzona nam namiętność do klasyfikacyi i etykietek, będzie w kłopocie, jakiem mianem ochrzcić współczesny nam okres w rozwoju sztuki. Realizm, idealizm, symbolizm i t. d. poplątały się do tego stopnia, że już nie wiadomo, co i gdzie góruje. Jedna tylko cecha przeważająca daje się zauważyć w sztuce współczesnej bez względu na dziedzinę i kierunek, w jakim się objawia, jedna cecha, która jej nadaje pewne zabarwienie, pewien szczególny odcień. Oto dziś silniej, niż kiedykolwiek, pociąga wzrok artysty tajemnicza głąb duszy ludzkiej. Tem się da tylko wytłomaczyć to wyodrębnienie portretu, jako oddzielnej gałęzi sztuki, to zamiłowanie do rozwiązywania zagadek psychologicznych na płótnie lub w poezyi. Prawda, przeszłość dawna przekazała niedościgłe arcywzory portretu, lecz żaden z mistrzów starych nie był *tylko* portrecistą, żaden nie starał się oddać na płótnie najdrobniejszych drgnień duszy; wystarczały szerokie, jak ze spiżu odlane, rysy główne; nie wydali oni również ze siebie ani jednego Böcklina, ani jednego Schneidera. Teraz „psychologii" na wszystkich wystawach pełno.

U nas uprawia ją specyalnie Maryan Wawrzeniecki. W Salonie Krywulta wystawił obecnie cały szereg swoich „wrażeń," które dowodzą z jednej strony bujnej fantazyi i bogactwa pomysłów, z drugiej — nieudolności artysty, gdy chodzi o wykonanie. Z całego tłumu mniejszych i większych płócien dwa tylko, widocznie w szczęśliwych chwilach natchnienia poczęte, wywołują wrażenie: to „Śmierć" i „Wybawicielka." W obu tematem jest śmierć: w pierwszym — w postaci nagiej młodej kobiety o czaszce trupa, wspartej na czarnym, ogniem ziejącym byku, w drugim — w kształcie odzianego w ciemne szaty kościotrupa, stąpającego po schodach tam, kędy w łunie złowrogiej kona na krzyżu rozpięty męczennik. Reszta płócien Wawrzenieckiego są to rzeczy z punktu widzenia malarskiego zupełnie słabe i zimne.

A jeśli po tym chłodzie rozgrzać się chcecie, to zatrzymajcie się przed „Słońcem" Schönhayden — Möllera. Przed tem słońcem doznajemy takich wrażeń, jakich podobno doznawali Francuzi wobec pierwszych płócien plein-airzystów: razi ono wzrok. Jest to prawdziwe, szczere słońce, otoczone aureolą złocistą i wypełniające rzeczywistem światłem całą przestrzeń między obrazem a widzem. Tak oddawać naturę potrafi tylko prawdziwie wielki talent...

Michał Mutermilch.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

ESTETYKA. S. Witkiewicz: „Sztuka i krytyka u nas," wyd. 3 (708 str.). Lwów—Warszawa. Sadowski.

HISTORYA. K. Seignobos: „Dzieje polityczne Europy współczesnej," z. I, *Głos*.

— „Historya Polski," t. II, dodatek do *Wieku*.

FIZYKA. J. Tyndall: „O świetle." sześć wykładów. przeł. W. Biernacki (249 str.). Cena 30 kop.

POWIEŚĆ. S. Gębarski: „Gród Molocha," opowiadanie z czasów starożytnych (111 str.). *Przyjaciel Ludu.*

— A Gruszecki: „W starym dworze" (116 str.). Petersburg. Grendyszyński.

— J. Gallet: „Przygody Cyrana de Bergerac," trzy tomy. Przekład W. Gomulickiego, z przedmową J. A. Święcickiego, „Biblioteka dzieł wyborowych.

— O. Mysing: „Berezyna," tłom. W. Trąmpczyński, „Bibl. dzieł wybor."

— J. Bliziński: „Obrazki" (154 str.). *Gazeta Polska*.

— H. Andersen: „Bajki i opowiadania" (149 str.). *Gazeta Polska*.

POEZYE. E Siwiński: „Poezye," z rycinami W. Gersona (68 str.).

— J. Rydecki: „Poezye" (155 str.).

— W. Zalewski: „Ciche pieśni" (27 str.).

— J. Sten: „Poezye" (63 str). Lwów. Księgarnia polska.

— Z. Dębicki: „Ekstaza" (144 s.). Lwów—Warszawa, Sadowski.

ENCYKLOPEDYA wiadomości pożytecznych, Arcta, z. 33 — ostatni.

FILOZOFIA. W. Lutosławski: „Ueber die Grundvoraussetzungen und Consequenzen der individualistischen Weltanschauung" (88 str.) Helsingfors.

DRAMAT. G. Hauptmann: „Hanusia," przekład Konopnickiej (88 str.) W. Okręt.

KALENDARZ rolniczy, wydawany przez „Rolnika i hodowcę."

ROLNICTWO. J. Eistein: „Chwasty i ich tępienie," tłom. K W. (158 str.). „Rolnik i hodowca."

POEZYE

RZEKA.

Jak wielka rzeka napowietrzna,
Świetleje biała droga mleczna —
Nurt się królewsko lśni i toczy.
Gwiazd tam liliowe kwitną oczy —
I pył srebrzysto-granatowy
Pada na skały i parowy..

A fala taka senna, cicha,
Że słychać szmer, jak noc oddycha..
I tylko czasem z białej piany
Wypłynie potwór potargany,
I łeb komety świetlnouzdy
Pożłobi tonie w złote bruzdy...

A tam w oddali — na zachodzie
Płyną żałobne chmury-łodzie.
Płyną, owiane snem i grozą,
I jakieś martwe ciała wiozą
Ku wyspie dzikiej i dalekiej,
Gdzie proch zasypie im powieki.

Władysław Sterling.

W DALI.

Kielce. Na mocy testamentu b. właściciela dóbr Czartoszowy, ks. Józefa Malczewskiego z dnia 2 grudnia 1809 r. włościaninom wsi Jedle i Czartoszowy, gminy Łopuszno, w pow. Kieleckim, zapisano sumę 300 rb., z zastrzeżeniem aby tworzyła kapitał wieczysty, od którego procenty byłoby używane na wydawanie pieniężnych zapomog włościanom z tych wsi w razie gradobicia i pożaru Dotąd suma ta znajduje się w depozycie warszawskiej izby skarbowej, procenty od niej w 1866 r. odebrali pełnomocnicy mieszkańców powyższych wsi. przyczem rozdzielono je między wszystkich włościan. Wobec tego, rząd gubernialny kielecki zwrócił się do władzy wyższej o złożenie zapisu ks. Malczewskiego na przechowanie do kantoru warszawskiego Banku państwa i przestrzeganie, aby procenty były używane stosownie do ostatniej woli zmarłego. Obecnie wsie Jedle i Czartoszowy mają 31 dymów z ludnością 354 osób; zapis zaś doszedł do 1,000 rb. — Podczas pobytu p ministra oświaty, r. t. Bogolepowa w Kielcach, przedstawiała się deputacya mieszkańców, złożona z prezydenta Cylowa, obywateli Saskiego, Sienickiego i Welkego, celem poparcia przesłanej już prośby o otwarcie szkoły realnej w Kielcach. Gubernator miejscowy oraz naczelnik dyrekcyi naukowej, rz. r. st. Niedumow — jak pisze *Gaz. Kiel.*—w żywych słowach uzasadniali rzeczywistą potrzebę nowej szkoły, niezbędnej do potrzeb budzącego się w gubernii przemysłu i konieczność przygotowania pracowników do posad pomocniczych w zarządach zakładów przemysłowych. Jedyne w gubernii gimnazyum klasyczne istotnym potrzebom sprostać nie może a młodzież szuka nauki w nielicznych szkołach gubernij sąsiednich lub za granicą. Pan minister oświadczył, że projekt szkoły realnej kieleckiej rozpatrzy i mniema, iż przy ofiarności miasta na jej utrzymanie rada ministrów nie będzie przeciwną otwarciu. — Szewcy kieleccy zawiązują stowarzyszenie, w celu wyrabiania wszelkiego rodzaju obuwia nietylko dla zaspokojenia miejscowych potrzeb, lecz głównie dla wywozu na rynki po za miejscowe i dlatego ma ono na celu popieranie i ułatwianie działalności swych członków przez dostarczanie im zamówień, ułatwianie zbytu wyrobów i nabywanie materyałów na

wyroby; b) wydawanie wsparcia członkom i ich rodzinom w potrzebie. Wyroby stowarzyszenia sprzedawane będą w oddzielnym magazynie.

Wilno. *Wilenskij Wiestnik* ogłasza okólnik generał-gubernatora wileńskiego do gubernatorów. W okólniku tym wytknięto różne uchybienia w działalności „mirowych pośredników“ (komisarzy włościańskich) w kraju, które ujawniła rewizya uskuteczniona niedawno. Wykazując cały szereg błędów popełnianych przez „pośredników,“ generał-gubernator powiada co następuje: „Przyczyny wymienionych wyżej uchybień tkwią zarówno w poprzednich warunkach działalności „pośredników“ jak i w sposobie traktowania przez nich obowiązków służbowych, tudzież w braku właściwego systematycznego kierownictwa ze strony władzy gubernialnej.—Dokładne wtajemniczenie się w sprawy wszechstronne, zbadanie stanu ekonomicznego i finansowego. Właściwie i wogóle pilne uwzględnianie ich potrzeb ze strony „pośredników“ są głównym warunkiem ich działalności prawidłowej. Niezbędną rzeczą jest częste ze strony „mirowych pośredników“ odwiedzanie gmin w powierzonych im okręgach, a niewłaściwe wręcz w wysokim stopniu jest wzywanie włościan całemi grupami do miejsca zamieszkania „pośrednika“ (odległego niekiedy o 87 wiorst) celem odebrania od nich zeznań. Równie niewłaściwe jest uskutecznianie rewizyi w kancelaryach urzędów gminnych nie bezpośrednio na miejscu, lecz w ten sposób, że pisarzy ściąga się z książkami do innej gminy, albo że pośrednik przyjeżdża do gminy zaledwie raz na półtrzecia roku. „Z tych względów zwracając ponownie uwagą na konieczność stałego i sumiennego popełnienia obowiązków ze strony „mirowych pośredników,“ proponuję pewne kary za niedbałe wykonywanie obowiązków przez niektórych urzędników w zrewidowanych okręgach.“ Nadto, okólnik zaleca gubernatorom zwołanie najpóźniej w lutym ze zjazdu „mirowych pośredników“ i obznajmienie ich z temi ogólnemi zasadami, któremi winna się powodować. Zasady te są: „legalność, prawda i porządek.“

Rostów nad Donem. Maleńki kościołek w Rostowie, stanowiący dotychczas filię parafii Taganrog, stał się sam parafialnym. Przy kościele jest szkółka, utrzymywana z ofiar. Co rok w karnawale bywa urządzany wieczór tańcujący, ze sprzedażą kwiatów na jej korzyść. W tym roku na tenże cel (właściwie na dokończenie budowy nowego domu) przeznaczono dochód z wieczoru urządzonego w setną rocznicę urodzin Adama Mickiewicza. Dzień ten był święcony uroczyście. Z rana odbyło się nabożeństwo w kościele gustownie i wspaniale udekorowanym, z biustem poety, a w miejscowym klubie był urządzony wieczór wokalno-deklamacyjny, z programem, na który złożyły się wyłącznie utwory wielkiego poety, a mianowicie: Część I. Biografia wieszcza Adama Mickiewicza podług prof. Spasowicza; Ballada „Świtezianka,“ muzyka Chopina; Urywek z poematu „Konrad Wallenrod“; „Znasz-li ten kraj,“ muz. Moniuszki; „Powrót taty,“ ballada Mickiewicza. Część II. Polonez i Mazur Chopina; „Świtezianka“ A. Mickiewicza; Duet z poematu „Dziady,“ muz. Moniuszki; Kłótnia — wyjątek z poematu „Pan Tadeusz“; Apoteoza A. Mickiewicza (żywy obraz poety i głównych bohaterów jego poezyj). W taki sposób Polacy w Rostowie uczcili pamięć największego i najukochańszego wieszcza. Przytem wysłano 24 grudnia telegram do Warszawy, opatrzony 300 podpisami.

Jurjew (Dorpat). Uniwersytet tutejszy w roku obecnym liczy 1373 studentów. Na wydziale prawnym — 337, lekarskim — 727, historyczno-filologicznym — 47, fizyczno-matematycznym — 97. Podług wyznań: prawosławnych — 583 (42%), protestantów — 469 (34%), Żydów — 204 (15%), katolików — 106 (8%), ormiano-gregoryan — 12 (0,8%) i mahometanin 1. Podług pochodzenia: z gubernij Nadbałtyckich — 431 (31%), z gubernij Cesarstwa i Królestwa Polskiego — 936 (68%), cudzoziemców — 6. Farmaceutów 324, w tej liczbie prawosławnych 13 (4%), protestantów 132 (41%), żydów 111 (34%), katolików 67 (21%), ormiano-gregoryanin 1. Wolnych słuchaczów było 5. Liczba studentów, która od pewnego czasu do r. 1896 stale zmniejszała się, obecnie wzrasta (w r. 1896 — 932, w 1897 — 1098). Coraz więcej przybywa z dalszych gubernij Cesarstwa, za to liczba z gubernij nadbałtyckich stale zmniejsza się (w r. 1896 — 52% ogółu, w r. 1897 — 41%, w 2888 — 31%). Podług wyznań zwraca uwagę szybki wzrost liczby studentów wyznania prawosławnego (w r. 1896 — 13%, w 1897 — 26%. w 1898 — 42%) Objaśnia się to tem, że w ciągu ostatnich paru lat przyjęto przeszło 400 wychowańców prawosławnych seminaryów duchownych. Wogóle nietylko co do języka wykładowego, ale i co do składu studentów, uniwersytet tutejszy coraz bardziej zbliża się do ogólnego typu wszechnic Cesarstwa.

Petersburg. *Pet. Wied.* drukują notatki z podróży na Syberyę i Sachalin głównego naczelnika zarządu więziennego, A. P. Sałomona, który doszedł do wniosku, iż wysyłanie drogą administracyjną chybia celu jako system kary, tudzież jako środek zaludnienia Syberyi. Zdaniem p. Sałomona, konieczna jest reforma w urządzeniu ciężkich robót. Katorga nerczyńska, na której urządzenie wydano olbrzymie sumy, jest tylko pozornie w porządku. Skazani na ciężkie roboty, właściwie nie robią nic, a władza miejscowa wysila się w pomysłach wynalezienia pracy dla przestępców. Z tego powodu p. Sałomon sądzi, że należy albo znieść zupełnie katorgę nerczyńską lub jej skład ograniczyć. — Jeszcze ciekawszy był wynik rewizyi Sachalinu: okazuje się, że połowa 28,000,000 rb., asygnowanych na urządzenia więzienne, nie doszła swego przeznaczenia. W mowie pożegnalnej p. S. wyraził nadzieję, że od danej chwili działalność urzędników będzie inną, dzięki dzisiejszej kontroli i nowowprowadzonym instytucyom sądowym na Syberyi.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum finansów otrzymało do zatwierdzenia projekt ustawy Tow. górniczo-przemysłowego częstochowskiego.

— Ukazał się „katalog rosyjsko-polskich czytelni ludowych Kraju Przywiślańskiego“ (zeszyty 1, 2 i 3). Zawiera on tytułów w dziale polskim 168, w rosyjskim 130.

— Ukaz Najwyższy do ministra skarbu zawiera ulgi dla pożyczających we włościańskim banku ziemskim, mianowicie: zniżenie stopy procentowej od pożyczek, zarówno wydanych już, jak i tych, które będą wydane, z $4^1/_2$% na 4% rocznie, przedłużenie terminu pożyczek, zmniejszenie wkładek, składanych przez dłużników na wydatki zarządu i na kapitał zapasowy z 1% na $^3/_4$% rocznie.

— Ministeryum sprawiedliwości opracowało projekt nakładania kar za picie wódki na ulicy.

— Helena z Duninów Łukaszewiczowa zapisała 10 tys. rb na rzecz przytułku dla starców i kalek.

— Ministeryum spraw wewnętrznych otrzymało do zatwierdzenia ustawę Tow. drukarskiego.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło nową ustawę wzorową dla straży ogniowych w Król. Polskiem, zamiast ustawy z 1882 r.

— Niewidomi mają być uwolnieni od wszelkich podatków i powinności pieniężnych.

— Komisya tymczasowa, utworzona dla przejrzenia stanu sprawy włościańskiej w kraju naszym, pod przewodnictwem gubernatora radomskiego Podgorodnikowa rozpoczyna niebawem obrady w Warszawie.

— Właściciele majoratów w Król. Polskiem będą mogli zaciągać pożyczki w Tow. kred. ziemskiem.

— W Łodzi powstać ma straż ogniowa miejska.

Konkursy. W d. 6 grudnia rozstrzygnięto w Krakowie konkursy kompozycyjne z dziedziny malarstwa, rysunku i rzeźby. Na malarskim pierwszą nagrodę (plafon do klatki wschodowej) przyznano Gustawowi Pilattiemu z Warszawy; 2 nagrodę otrzymał J. Bukowski i 3-ą p. Stanisław Bukowski. Na rysunkowym „Madej“ przyznano nagrodę p. Antoniemu Procajłowiczowi. Na rzeźbiarskim za kompozycyę „Rzeźba“ 1-szą nagrodę zdobył p. Ksawery Dunikowski (z Warszawy), drugą p. Biegas.

— Lwowski komitet pomnika dla Mickiewicza rozstrzygnął konkurs na kolumnę pomnikową dla poety: 1-ą nagrodę przyznano p. Antoniemu Popielowi, 2-ą p. Leonowi Zawiejskiemu, 3-ą p. Wacławowi Szymanowskiemu.

Szkoły. Ma być ujednostajniony program wykładów w szkołach ludowych i zwiększenie liczby tych.

— Należy się spodziewać utworzenia kasy emerytalnej dla nauczycieli szkół ludowych.

— W warszawskim okręgu naukowym będzie utworzonych 12 posad inspektorów szkół ludowych.

Wystawy i zjazdy. Termin składania deklaracyj na wystawę paryską w r. 1900, upłynął z d. 12 b. m.

— Petersburskie Towarzystwo budowniczych urządza trzeci zjazd w grudniu r. b.

Prasa. *Kronika Rodzinna* zaczęła na nowo wychodzić w dawnym formacie i programie.

— We Lwowie zacznie wychodzić „Miesięcznik dla buchhalterów“ pod redakcyą p. Kazimierza Wieniawa Chmielewskiego.

Koleje i komunikacye. Karty osobowe na miejsca w wagonie po 1 rb. 50 kop. mają być z d. 13 stycznia r. b. wprowadzone na kolejach Mikołajewskiej i Warszawsko-Petersburskiej do Wierzbołowa i Warszawy.

— Z chwilą wypuszczenia w obieg monety 10-rublowej, przyspieszone zostanie wycofanie banknotów 1, 5 i 25-rublowych. Pozostaną tylko trzyrublówki papierowe i banknoty wyższej wartości, 100 i 500-rublowe.

Przemysł i handel. Nową tkalnię zakłada w Łodzi Arnold Ranke.

— Na budowę wielkiej mechanicznej stalowni w Łodzi uzyskał pozwolenie p. R. Żukowski.

— Grono przemysłowców łódzkich zajmuje się utworzeniem towarzystwa akcyjnego budowy fabryki maszyn i warsztatów.

— Zatwierdzona została ustawa Towarzystwa akcyjnego, w skład którego wchodzą firmy: „Zjednoczonych aptekarzy,“ Ludwik Spiess i Syn. Kapitał zakładowy 500,000 rb.

— *Zbior. praw.* ogłasza dwie ustawy towarzystw wzajemnego kredytu w Tomaszowie i Pabjanicach. Celem tych Towarzystw jest: „dostarczać kredytu swoim członkom, którymi mogą być osoby obojej płci, bez różnicy stanu, przeważnie zaś kupcy, przemysłowcy i rolnicy.“ Towarzystwa rozpoczynają działalność z chwilą, gdy liczba członków dosięgnie 50, kapitał zaś obrotowy z wkładów 10% — 35,000 rb. (pabjanickie — 25,000 rb.) Art. 85 w obu ustawach głosi: Wszelkie wogóle stosunki Towarzystwa i pełnomocników jego z władzami i osobami urzędowemi powinny być prowadzone w języku rosyjskim. Na wszelkie zapytania, podania i żądania, zarówno piśmienne, jak i ustne, pochodzące od innych Towarzystw prywatnych lub osób i wystosowane w języku rosyjskim, Towarzystwo powinno odpowiadać również w języku rosyjskim. Wszelkie czynności wewnętrzne nie wyłączając protokułów i dzienników posiedzeń, rachunkowość i sprawozdania powinny być prowadzone tylko w języku rosyjskim. Przytem wymagania wspomniane, o ile dotyczą rachunkowości i sprawozdań, ograniczają się prowadzeniem w języku rosyjskim ksiąg buchhalteryjnych i sprawozdań, odtwarzających ich dane, podawanie zaś danych sprawozdawczych do wiadomości powszechnej może się odbywać i w przekładzie na język polski, pod warunkiem jedynie, ażeby przekład ten był drukowany równolegle z tekstem rosyjskim.“

Odpowiedzi Redakcyi.

Samoukowi L. S. Jest to pospolita proza, ujęta w rymy. Niema w niej nawet znajomości formalnych zasad pisania wierszy, dla których np. rytm nie jest rzeczą obojętną.

Y—Z. Ani to obraz (śród „wirchów — niwa złotokłosa“ i „ptaków chór,“ czego tam nie ma), ani godny uwagi publicznej liryzm.

KONKURS POETYCKI.

Jeden z przyjaciół *Prawdy*, który życzy sobie pozostać bezimiennym, złożył nam 500 rubli jako nagrodę konkursu na utwór poetyczny. Ogłaszamy więc ten konkurs na warunkach następujących:

1) Co do formy: utwór ma być napisany wierszem w jakiejkolwiek postaci, stanowić całość artystyczną, nie mniejszą wszakże, niż 500 wierszy. Może on więc być poematem lirycznym, opisowym, fantastycznym itd.

2) Co do treści: Wybór jej nie podlega ograniczeniu, z tem tylko zastrzeżeniem, że wątek powinien być swojski.

3) Utwory przedtem drukowane są wyłączone z konkursu.

4) Ostateczny termin nadsyłania rękopisów 1 czerwca 1899 r. do redakcyi *Prawdy*.

5) Do rękopisu powinna być dołączona zamknięta koperta z jego tytułem i godłem, zawierająca nazwisko autora.

6) Utwór nagrodzony pozostaje własnością autora.

Sąd konkursowy stanowią: Antoni Gustaw Bem, Stanisław Krzemiński, Ignacy Matuszewski, Leopold Meyet, Wacław Sieroszewski, Aleksander Świętochowski, Stefan Żeromski.

Dzieło dr. J. Dallemagne'a

Człowiek zwyrodniały,

które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach Prawdy, wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko dwa ruble bez przesyłki.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 1 Января 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.